Nr. 2.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XIX.

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1913.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **7 Kor. (7 Mk.)**; dla Ameryki **8 Kor.**

Od września 1912 r. przeniesiono Redakcyę »Roczników« na Stradom, tam przeto upraszamy nadsyłać prenumeratę na rok 1913.

Adres: Redakcya »Roczników« — Kraków, Stradom 4.

Redakcya uprasza najuprzejmiej Czcigodnych Księży Superyorów oraz Czcig. SS. Przełożone o łaskawe nadsyłanie sprawozdań o pracy i stanie powierzonych im domów i dzieł, w myśl statutów ułożonych przy zakładaniu naszego kwartalnika oraz stosownie do „Słowa wstępnego“, zamieszczonego w pierwszym zeszycie tychże „Roczników“ (1895 r.).

Załączamy też gorącą prośbę o pisanie nekrologów naszych Zmarłych.

NR 2

Z północnej Ameryki.

Erie Pa, w lutym 1913.

Rok 1912 będzie w historyi naszego Zgromadzenia w Stanach Zjednoczonych rokiem niezmiernej doniosłości. W tym bowiem roku powołała nas Opatrzność Boża do dwóch dzieł wielkich dla Kościoła i narodu: jedno zupełnie nowe, Kolegium, — drugie wypływające z naszych Reguł, ale dotąd z powodu pochłonięcia nas przez wielki nawał pracy parafialnej i braku sił tylko ubocznie prowadzone, to misye ludowe. W tym roku poświęciliśmy się im zupełnie.

Jak już Roczniki wspominały w ostatnim numerze, otwarliśmy **Kolegium** we wrześniu ubiegłego roku. Dzieło to wielkie, a potrzebne, jak potrzebne jest podwyższenie poziomu zarówno intelektualnego jak i moralnego naszego społeczeństwa. Obydwom tym celom ma zadośćuczynić nasz wyższy zakład naukowy. Jako dzieło wielkie a zbożne musiało napotkać w początkach na pewne trudności. Po półrocznem swem istnieniu może się ono pochlubić, że odparło zwycięsko nienawistną zawiść pewnej zdeprawowanej części naszego społeczeństwa, i spogląda z otuchą w następny rok, który niezawodnie przysporzy naszemu Kolegium większego powodzenia. Społeczeństwo wreszcie samo musi uznać, że dzieła tego podjęliśmy się li tylko z woli Opatrzności, dla idei dobra narodu, z poświęceniem bezinteresownem naszych sił i majątku. Jako dowód uznania naszego zakładu, nawet przez ludzi nam nieprzychylnych, posłużyć nam może fakt, że p. N. N., jeden z najpoważniejszych Związkowców, a mający nawet wielkie szanse na najwyższy urząd Z. N. P.

(Związku Narodowo Polskiego), który i niejednokrotnie w pismach przeciwko nam występował, przysyła dwóch swoich synów do naszego Kolegium. „Jakto, Pan oddajesz swych synów do naszego zakładu?“, zapytuje go ksiądz Janowski, „przecież Pan tylokrotnie oświadczył się przeciwko wychowaniu prowadzonemu przez duchowieństwo“. „Proszę księdza“, odpowiada na to, „oddaję moich chłopców księżom, bo wiem, że się jedynie tutaj czegoś nauczyć mogą, a to, że im wpoicie zasady religijne, to im to wcale nie zaszkodzi. Zresztą później będą mieć dość sposobności, żeby ich się pozbyć, jeśli im będą niewygodne“.

Może nie od rzeczy będzie podać parę wiadomości z naszego życia w Kolegium w ubiegłem półroczu.

Ks. Głogowski jako rektor zarządza całem Kolegium i obok mnogich zajęć i spraw kolegiackich uczy jeszcze dwóch przedmiotów. Ks. Włodarczyk pełni urząd prokuratora i profesora. Trzecim profesorem jest Mr. T. Clancy do przedmiotów angielskich. Od nowego roku przebywa w Kolegium stale i ks. Ściskalski, który uczy studentów przybyłych później. Kuchnię prowadzi z zadowoleniem całego personalu Kolegium brat Józef, a brat Marcin zarządza farmami.

Liczba wychowanków w tem półroczu wciąż wzrasta. W styczniu przybyło 5 nowych. Wszyscy są w wieku od 12—16 lat, w przeciwieństwie do innych zakładów amerykańskich, gdzie różnica wieku jest znacznie większą. Ta niewielka różnica w wieku wychodzi tylko na korzyść ducha koleżyńskiego, który wzorowo panuje wśród naszych wychowanków. Łatwo im się zespolić w rozmaite kółka, jakie wśród siebie zawiązują, sportowe i artystyczne. Częsta i codzienna Komunia święta, a na końcu półrocza odprawione rekolekcye pod przewodnictwem ks. Kołodzieja wpływają na nich dodatnio, a stąd życie zobopólne tem więcej się podnosi. Na ogół są to chłopcy zacni, którzy już z domu wynieśli dobre wychowanie religijne i dlatego prawie wszyscy poleceni przez swych proboszczów. Świadectwa na półrocze im rozdane były zadowalające.

Oprócz samego zakładu przynależą jeszcze do Kolegium 2 farmy z wielkim sadem, ogrodem warzywnym, polem podatnem nadewszystko pod uprawę kukurudzy, i obszernemi winnicami, z których w ubiegłym roku otrzymaliśmy kilka beczek wina mszalnego i stołowego, nie licząc bogatego zapasu winogron, które zostawiono do miłej dyspozycyi łakomej młodzieży.

Od miasta Erie, przeważnie fabrycznego, jesteśmy jakoby odcięci, ale dostęp do niego mamy wielce ułatwiony, dzięki stacyi kolejowej „Kanty“, parę zaledwie kroków odległej, i niewielkiej odległości od tramwaju, a prócz tego w razie potrzeby łatwo dojechać końmi lub własnym automobilem. Specyalna odnoga toru kolejowego podsuwa wagony towarowe pod sam boiler-house[1]). Pozorne to odcięcie od miasta zatem znika, a pozwala zażywać nam wygód zarówno życia miejskiego jak i wiejskiego: mamy świeże powietrze, w lecie kąpiel w rzece Fourmilescreek (rzeka 4 mil), szemrzącej w uroczej, 200 metrów odległej, górskiej dolinie, przechadzki wśród malowniczych pól, widok wspaniały na jezioro, które jak lustro ściele się u stóp wyżyn, nazwanych od Kolegium naszego, College Heights (wzgórze kolegium), a w czasie pogody z terasy samegoż Kolegium oko dosięga i brzegów Kanady, które w oddali 30 mil widnieją poprzez jezioro. — Kolegium zatem ma wszystkie warunki, aby być zakładem uwzględniającym zdrowie ducha i ciała, a to życie w pierwszych początkach jest dostateczną rękojmią, jego dalszego rozwoju, mimo niezaprzeczonych jeszcze trudności.

Drugie dzieło to **misye**. Zanim przystąpimy szczegółowo do opisu misyi niech nam będzie wolno z góry zreasumować krótko całą naszą działalność misyjną w tem ubiegłem półroczu. Z 7 księży przeznaczonych do Kolegium pięciu mogło się poświęcić misyom wyłącznie; a mianowicie księża: Kołodziej, Słupiński, Janowski, Tyżyński i Ściskalski.

---

1) Budynek, gdzie mieści się centralne ogrzewanie i maszyny.

Ponieważ zgłoszeń zaczęło napływać bardzo dużo podzieliliśmy się na 2 partye. I tak odprawialiśmy misye w następującym składzie i czasie:

Od 15/IX — 26/IX w Rockville, dyec. Hartford, stan Connecticut, Księża Słupiński i Kołodziej.

Od 29/IX — 15/X w Salem, dyec. Boston, stan Massachussets, Księża Słupiński, Kołodziej, Ściskalski.

Od 29/IX — 8/X w Jackson, dyec. Detroit, Michigan, Księża Janowski, Tyżyński.

Od 15/X — 23/X Brooklyn, dyec. Brooklyn, New York, Księża Kołodziej, Ściskalski.

Od 3/XI — 17/XI Union City, dyec. Hartford, Conn., Księża Słupiński i Ściskalski.

Od 10/XI — 18/XI Buffalo, dyec. Buffalo, Księża Kołodziej, Janowski i Tyżyński.

Od 24/XI — 1/XII Medina, dyec. Buffalo, Księża Janowski, Tyżyński.

Od 1/XII — 16/XII Buffalo, dyec. Buffalo, Księża Słupiński, Kołodziej i Ściskalski.

Od 8/XII — 14/XII Burlington, dyec. Trenton, New Jersey, Księża Janowski i Tyżyński.

Od 15/XII — 22/XII Dunkirk, dyec. Buffalo, wszyscy pięciu.

Tak więc odprawiliśmy w ciągu 3 miesięcy 10 wielkich misyi. Do pracy misyjnej zaliczyćby jeszcze wypadało wycieczki nasze na 40-godzinne nabożeństwa, na których jeden misyonarz wszystkie kazania (6—8) musi powiedzieć, i kazania po różnych parafiach w niedziele i z okazyi rozmaitych uroczystości kościelnych lub patryotycznych. Takiemi wycieczkami wogóle mamy zajęty czas wolny od misyi, bo księża proboszczowie tylko czychają na to, aby nas mogli dostać, by się nami wyręczyć. To też w niedzielę stale tylko jeden ksiądz przebywa w Kolegium, nawet staropolskiej wilii nie można było zjeść w kółku rodzinnem, wszyscy się rozjechali, został jeden ks. Włodarczyk z braćmi. Obecnie od lutego znowu obie partye wyjechały na misye, które da-

wać będą bez wypoczynku aż do lipca. Pozostali zaś 3 głoszą kazania pasyjne: ks. Rektor w Erie, ks. Włodarczyk w Buffalo, ks. Ściskalski w Buffalo i Dunkirk.

Prawdziwie apostolskiej, ba poniekąd awanturniczej wyprawy misyjnej podjęli się nasi konfratrzy w styczniu tego roku. Jest to wyprawa do Stanu Saskatchewan [1]) w Kanadzie na zaproszenie ks. Biskupa z Reginy. Prawie, że awanturnicza, jeśli się zważy straszliwą odległość z Erie (jak z Rzymu do Moskwy) w północne, prawie że lodowate okolice, gdzie mróz właśnie w tym czasie dochodził do 70° F. Podjęli się tej wyprawy ks. Janowski i ks. Tyżyński. Cały miesiąc styczeń przewędrowali tam wśród naszych wychodźców, którzy rozprószeni po olbrzymich przestrzeniach Kanady łakną słowa Bożego. Ks. Tyżyńskiemu udało się tam dać 3 misye, po 4 dni w Otthon, Mikado i w Kowalówce, w stanie Alberta [2]). Obszerniejsze sprawozdanie o tej podróży misyjnej i wszystkich przygodach wśród prawie że dzikich jeszcze Indyan i t. zw. Woażerów kanadyjskich prześlemy do „Roczników“ później.

Z tego pobieżnego rejestru naszej pracy misyjnej możemy sobie pochlebiać w Panu, że zrobiliśmy wiele. Ale bo też żniwo wielkie, a robotników mało, więc co można, to robić trzeba. A przytem to przecież dzieło tak ukochane przez św. Wincentego, który dla tego dzieła w początkach dom misyonarski nawet pusty zostawiał, a klucz odnosił do sąsiada. Niejednokrotnie nam się to przypomina, kiedy tak się rozjeżdżamy na wszystkie strony świata.

O ile wszakże cieszyliśmy się w początkach z napływających wciąż zgłoszeń na misye, o tyle obawialiśmy się, czy im podołamy. Najpierw dlatego, że wszyscyśmy jeszcze młodzi, a powtóre żaden z nas z wyjątkiem ks. Kołodzieja nie był w Starym kraju na misyach. Nie znaliśmy zatem owych licznych sposobów, którymi nasi Ojcowie pociągali ku sobie

---

[1]) Saskatchewan, nazwane od rzeki tejże nazwy, wpadającej do jeziora Winnipeg.

[2]) Stan Alberta, na zachód od st. Saskatchewan, na południe od st. Athabasca.

serca ludu, naprowadzając go na drogę wiodącą do Boga. Nadto uwzględnić trzeba różnorodność słuchaczy, przychodzących na misye. Już nie mówię tu o tak zwanej inteligencyi, bo tej właśnie tutaj niema, a jeśli jest, to jej się wcale nie bierze w rachubę, bo na misye nie przychodzi. Również mniejsza o to, że pochodzą z rozmaitych stron Starego kraju: z Galicyi, z Królestwa Polskiego lub z Prus. Najważniejsza trudność polega na tem, że tutejsze parafie składają się z ludzi niedawno przybyłych i z ludzi dawno tu już osiadłych, nieraz i od 50 lat, lub tu urodzonych, t. zw. Polish Americans. — Pierwsi, jak zwyczajnie nasz „złoty polski lud", przywiązani do wiary i zwyczajów ojczystych, radziby i tu w kościele widzieć te same nabożeństwa, słyszeć ten sam śpiew i melodye, takiesame kazania, omal że nie te same słowa. Oni też przedewszystkiem utrzymują i zapełniają kościoły. Drudzy opuściwszy dawno kraj trochę go pamiętają i nieraz mile wspominają, lecz już dużo przejęli od Amerykanów. Przytem nieco dumni, chcieliby pokazać, że oni już nie ci sami, co w Starym kraju lub świeżo przybyli, t. zw. greenhorn'y (grynory), a więc trochę mędrsi i bogatsi; a sami nie wiedzą, czego chcą, to im Amerykanie imponują to znów kraj się przypomina i tak w ciągłej żyją rozterce. Mówić więc do nich i przekonać ich o jakiejś prawdzie Bożej nieraz trudno, zależy bowiem, na jaką nutę są nastrojeni.

Tu urodzeni nie mają pojęcia o kraju, a często niechętnie o nim słuchają i o zwyczajach starokrajskich, a przykłady ojczyste wcale na nich wrażenia nie robią. Są jednak Polakami, chociaż językiem polskim posługują się bardzo rzadko poza domem i kościołem, do którego ze zwyczaju jeszcze uczęszczają.

Mając takich słuchaczy na misyach, nie wiadomo, jak do nich przemawiać i jakim stylem im prawdy Boże tłomaczyć, aby zrozumieli i skłonili się do pokuty i poprawy życia. Misyonarz powinien znać nie tylko lud nasz polski, jakim on obecnie jest, ale nadto, w jakich stosunkach się znajdował opuszczając kraj ojczysty, w jakich się teraz znaj-

duje, ale nadto, że się tak wyrażę, myśli i usposobienie ludzi starszej i młodszej generacyi. Często mogą pod tym względem zajść rozmaite nieporozumienia, a wynikiem tegō jest i opinia ludu o samych misyonarzach. Jedni chwalą to, co drudzy ganią, a sądy te, jakkolwiek małostkowe, czasem stanowią o skutkach misyi. I tak jednemu podoba się, że mówimy tak, jak w Starym kraju, drugiemu to się znowu nie podoba, jednemu podobają się proste chłopskie porównania, tamtemu znów wydają się za płaskie i niestosowne na Amerykę. Czasem to się aż pokłócą między sobą o misyonarzy. Napotkaliśmy i takie parafie, gdzie lud po misyach stał się gorszym niż był przed misyami. I tak w jednym miejscu (S.) zaraz po misyach na złość misyonarzowi, ale nie z naszego Zgromadzenia, że zbyt jaskrawie wytykał ich wady, zapisało się aż 40 do socyalistów. Smutne to, ale prawdziwe. Chociaż nie można tu wcale winić misyonarzy, lecz trudność położenia, w jakiem się znajdowali.

Słuszne więc były nasze obawy, a choć przypomnieliśmy sobie słowa św. Wincentego: „Odwagi Bracia, *In nomine Domini*“, to z wielką obawą poczynaliśmy każdą misyę. Na pierwszy ogień wypadła nam misya w Rockville, w stanie Connecticut.

Rockville, to miasto w tymsamym stanie (Connecticut) i w tejsamej dyecezyi (Hartford), w której się znajdują pierwsze nasze domy: New Haven i Derby. Miasto samo nie wielkie, liczące 9 tysięcy mieszkańców, z tych Polaków 900 dusz, ale położone w cudownej okolicy górskiej. Polacy pracują tu w fabrykach sukna, jedwabiu, w papierni, a bardzo mała liczba na farmach. Z fabryk zasługuje na uwagę najsławniejsza na całą Amerykę Północną fabryka sukien, tak zwana Springville, z której sam prezydent Taft zakupił sobie sukno na ubranie, aby mógł się godnie pokazać w Białym Domu. Najlepszy zarobek jest dla dziewcząt, to też dziewcząt tu najwięcej. Parafię polską założył w roku 1905 ks. Karol Wotypka, z pochodzenia Czech, i był proboszczem aż do swojej śmierci, t. j. do r. 1908. Po nim nastąpił ks. J. Culkowski, ten

jednak wskutek choroby musiał ustąpić, a objął po nim parafię w roku 1909 ks. Maks. Sołtysek, który do dziś z gorliwością godną pochwały pracuje nad Polakami. Parafia, chociaż tak młoda, posiada już kościoł, dom dla księdza, szkołę i dom dla Sióstr szkolnych. Wszystko razem ma wartość 30 tys. dolarów. Ludzie starają się o kościół, o szkołę, i chętnie posyłają dzieci do szkoły. Wszystkich dzieci szkolnych jest 140. Misya trwała tu 10 dni, od 15 września do 25 t. m., t. j. 5 dni dla niewiast i 5 dni dla mężczyzn. Mieli misye ks. Kołodziej i ks. Słupiński. Ludzie bardzo gorliwie uczęszczali na misyę, brali także udział w misyi i Polacy z dalekich farm, z sąsiednich miast, w których niema polskiego kościoła. Do spowiedzi przystąpiło 1150 osób. — Na zakończenie misyi przybyli z sąsiednich parafii ks. Cepa i ks. Musiał, i zostali na następny dzień. Po misyi bowiem przybył do parafii ks. Biskup Nilan z Hartford i bierzmował dzieci szkolne i starszych. Ks. Kołodziej zaraz rano po misyi wyjechał do Derby, aby spakować rzeczy i wysłać do Erie, a ks. Słupiński został w Rockville przez dwa dni. Na trzeci dzień 28 września w sobotę rano, ks. Słupiński z Rockville, a ks. Kołodziej z Derby wyruszyli koleją na misyę do Salem w Massachusetts.

Salem, Mass. — Miasto Salem jest oddalone o 14 mil ang. od Bostonu, jest to najstarsze miasto w stanie Massachusetts; nawet na całą starą Anglię, a więc starsze niż Boston; położone nad morzem; miało swój port handlowy i wojenny. Jako miasto zapisane jest już w r. 1628. W tym to czasie przybyli do tego miasta pierwsi koloniści z Europy. Byli nimi Purytanie czy Kwakrowie, którzy prześladowani w Anglii schronili się tu w Salem. Jako miasto portowe niegdyś było to miasto bardzo ruchliwe i przemysłowe, cały przemysł z Europy do tak zwanej dziś Nowej Anglii szedł przez Salem. Od dawnych czasów było tu Towarzystwo żeglarzy, którego pierwsi członkowie mieli dotrzeć aż do Przylądka Dobrej Nadziei. Dopiero 100 lat temu jak Boston zaćmił jego blask, a Salem przestało być miastem portowem. Obok tego

słynęło to miasto, jako siedziba rozmaitych czarowników, nawet w Europie sława ich się rozeszła. Przecież w jednem z muzeów w Berlinie znajduje się obraz, na którym wymalowana jest kobieta brzydka z kuflem piwa i z sową na ramieniu, a na dole ma napis „Czarownica w Salem". Wszakże ojcowie miasta Salem energicznie się do nich zabrali i starali się miasto starannie oczyścić z tego brudu. W roku bowiem 1698 spalili aż 19 osób posądzonych o czary. Nic więc dziwnego, żeśmy podczas misyi nie znaleźli ani jednej i tylko słyszeliśmy opowiadania i widzieliśmy w muzeum ciekawe dokumenta i rozprawy sądowe, które prowadzono przed wydaniem wyroku. Ciekawe są pytania, które sędziowie stawiali takim czarownikom i odpowiedzi na te pytania. Każda rozprawa zaczyna się: „Kto cię stworzył? co jest Bóg? co Trójca św.?" i tak w tych pytaniach przeszli całą Biblię i katechizm, a następnie pytania o czary, a choć czarownica dawała odpowiedzi i pokazywała, w jaki sposób te czary robi, to wszystko nie mogło przekonać ani świadków, ani sędziów, i dlatego na końcu każdej takiej rozprawy wypisany jest wyrok na spalenie i podpisy sędziego i ojców miasta. Niejeden z czytelników pomyśli, że czarownicy ci wykonywali dziwne czary, kiedy ich tak karano. Tymczasem przeciwnie. Jedną czarownicę, mieszkającą w Salem, na tej samej ulicy, gdzie dziś kościół polski — skazano na spalenie w XVIII. wieku za to, że dużą beczkę przerznęła na pół i zrobiła sobie dwie małe. Drugą znów tak samo spalili, że nosiła we włosach szpilkę, którą sobie zrobiła z drutu. Chodząc dziś po mieście ma się wrażenie, jakby się było w jakiem starożytnem mieście europejskiem, tyle tu pamiątek, prawie każda ulica ma swoją historyę. Są tu z dawnych czasów aż 3 muzea, dom akcyzowy z czasów, kiedy miasto było portem. Przecudne są również okolice Salem, które zwiedzaliśmy w czasie misyi w popołudniowych godzinnych wycieczkach. Prawie do samego miasta wrzyna się długa zatoka morska umożliwiająca ruch okrętowy. Ze starego fortu, wystawionego przeciwko najazdowi Indyan, a najeżonego jesz-

cze dziś antycznemi armatami, obserwować można całą tę zatokę wraz z morskim przypływem i odpływem. U wejścia do zatoki dość daleko na morze wysunięta znajduje się wapiennej formacyi wysepka, której białe brzegi mleczno biało odrzynają się od zielonawych morskich fal. Mieszkańcami jej to jedna jedynie rodzina latarnika. Przed 2 laty miało miasto dość wiele kłopotu z latarnikiem, bo domagał się na wysepce szkoły dla swych dzieci. Byłby niezawodnie wygrał proces, ale zadowolił się tem, że miasto codziennie posyła okręcik pc jego dzieci. O 5 mil ang. na północ jest cmentarz Indyan, szkoda tylko, że na grobowych kamieniach niema żadnych napisów. Indyanie mieli tu być aż do roku 1715. W stronie zachodniej znajduje się sławna miejscowość Bewerly. Jest to właściwie ogromny i wspaniały park, podzielony rozmaitymi parkanami, w każdej takiej części znajdują się letnie pałace bogaczy amerykańskich. Pomiędzy nimi jest także pałac letni prezydenta Stanów Zjednoczonych Tafta.

Samo zaś miasto, dziś już nie wielkie, ma 43 tys. mieszkańców; dawny przemysł przeniesiony zosłał do Bostonu. Ludność tu bardzo mieszana, niemal z wszystkich narodowości, przeważają jednak Francuzi. Co do religii, to większość stanowią katolicy, jest ich wszystkich razem 25 tysięcy.

Katolicy tu uchodzą za dobrych i gorliwych. W samem mieście są 2 kościoły angielskie, 2 francuskie, 2 niemieckie, 1 włoski, 1 węgierski i 1 polski. Polska parafia założona temu 14 lat, liczy więcej niż 3000 dusz. Obecny proboszcz, a właściwie pierwszy, bo od samego początku tu jest, ks. Czubek, wychowanek polskiego Seminaryum w Detroit, bardzo gorliwie a przytem roztropnie pracuje nad Polakami. To też choć ich stosunkowo do ogólnej liczby mieszkańców mało, to przecież Polacy mają dosyć wybitne znaczenie i nieraz wpływają na politykę miejscową. Polacy osiedlili się tu już bardzo dawno, niektóre rodziny już są przeszło 30 lat. Niektórzy z nich znacznie się zbogacili; w samem mieście

mają Polacy aż 40 automobilów, 300 własnych domów, widać więc z tego, że dobrobyt pomiędzy nimi jest. Co do przywiązania do wiary i Kościoła, nie można było narzekać, owszem jak inne narodowości tak i nasi Polacy odznaczają się pobożnością, omal że nie przodują. Dopiero w ostatnich latach, po wojnie japońskiej zagnieździł się w stanach Nowej Anglii socyalizm. A więc i w Salem się znalazł pomiędzy Polakami i to dosyć licznie. Zwłaszcza od sławnego strajku w Louvrenie rozpoczęła się ruchawka w parafii. Właśnie w czasie naszego przybycia na misye miała się odbyć rozprawa sądowa przeciw dwom socyalistom Włochom, oskarżonym o zabicie kobiety w czasie rozruchów socyalistycznych w Louvrenie. W sobotę więc, t. j. w dniu naszego przybycia przybyło z rozmaitych stron aż 4 tysiące socyalistów Włochów i Polaków, i urządzili pochód po mieście ze sztandarem, aby wymódz na sądzie uwolnienie zbrodniarzy, co im się później rzeczywiście udało. Na sztandarze wypisali wielkiemi literami słowa z czasów Rewolucyi francuskiej: „No God no master“ „Ni Dieu ni maître“. Do tego, jeszcze samo więzienie, w którem znajdowali się zbrodniarze, stoi blizko kościoła polskiego, a jeszcze bliżej plebanii. Co dzień z okien lub idąc do kościoła mogliśmy widzieć, jak co rano i popołudniu wieziono zbrodniarzy na rozprawy sądowe. — To też rzedły nam miny, i jeden na drugiego spoglądał, co i jak będzie? Ks. proboszcz widząc nas pierwszy raz dosyć był zakłopotany. Tak rozmawiając z ks. proboszczem pytamy się: No i cóż? będziemy mieli misye? czy nie? — No tak, ale jak? In nomine Domini. — Kogóż tu najpierw wziąć? Proboszcz chce mężczyzn my znów kobiety, a to w tej myśli, że tymczasem skończą się rozprawy i rozruchy, a i chłopy się ustatkują i przynajmniej z ciekawości przyjdą do kościoła. Wreszcie stanęło na tem, że w pierwszym tygodniu będzie misya dla kobiet, a w drugim dla mężczyzn. Ułożyliśmy więc plan misyi. Podajemy go tu szczegółowo, aby czytelnicy poznali, jakiego planu trzymamy się w czasie dalszych także misyi. — W niedzielę rano już o godz. 7 msza św., krótkie

kazanie i ogłoszenie porządku misyi, o 9 godz. znowu 2 msze, jedna w kościele dla ludzi z kazaniem jak o 7 godz., a druga dla dzieci pod kościołem. O godz. 10½ dopiero właściwe zaczęcie misyi: krótka przemowa proboszcza — poczem jeden z misyonarzy odprawił uroczystą sumą, a po mszy pierwsze kazanie misyjne... Po południu o 3 godzinie stacye Drogi krzyżowej, nauka o odpustach i bractwach, i poświęcenie rzeczy misyjnych. Wieczór o godz. 7½ nieszpory z wystawieniem i kazanie misyjne o rachunku sumienia i modlitwy wieczorne. W poniedziałek znów porządek się zmienia o tyle, że 1 msza św. odprawia się o godz. 5, modlitwy poranne, nauka krótka, msza cicha, podczas której ludzie śpiewają Godzinki lub pieśni do M. B. Później dopiero o 8 godzinie suma i kazanie. Po południu tak samo jak w niedzielę. Spowiedź zaczęliśmy dla niewiast we wtorek rano. Ponieważ zaś dzieci stanowią także ważną cząstkę parafii, a często największą, więc i o nich nie można zapominać. Aby nam nie przeszkadzały w czasie misyi, dla tego zaraz na początku ogłosiliśmy, aby wszystkie, a zwłaszcza te, które już chodziły do spowiedzi, rodzice przysłali do kościoła rano i popołudniu po szkole, na naukę. Już w niedzielę rano jeden z misyonarzy miał do nich naukę o grzechu i spowiedzi, również po południu. A w poniedziałek o 3 godz. krótkie przygotowanie do spowiedzi. O 4 godz. wszystkie dzieci idą do spowiedzi, a we wtorek rano do Komunii św. Tak więc zaraz już w pierwszym dniu mieliśmy już dzieci wyspowiadane, a było ich blizko 200. Aby zaś je utwierdzić w dobrem, w następną niedzielę mieliśmy jeszcze do nich naukę misyjną pod kościołem. W czasie męskiej seryi wolnym od spowiedzi w poniedziałek popołudniu o 3 godz. zamiast Drogi krzyżowej, było uroczyste błogosławieństwo dzieci i wkładanie Cudownego medalika. Medalików włożyliśmy około 5 tysięcy. Ludzie kupowali je garściami. Zaraz na drugi dzień, t. j. w poniedziałek rano przybył nam z pomocą ks. Ściskalski, który z niedzieli na poniedziałek całą noc jechał z Auburn N. Y. (Jest to miasto w połowie drogi

między Erie a Bostonem, gdzie wygłosił kazanie na poświęceniu kościoła polskiego w obecności bp. Hickey'a z Rochester). Było więc nas od tego czasu trzech, ks. Kołodziej, ks. Słupiński i ks. Ściskalski, a więc i weselej, tem więcej, żeśmy się tu dopiero pierwszy raz w życiu zobaczyli. Przez cały tydzień aż do soboty porządek ten sam, a w chwilach wolnych od nabożeństwa i kazania słuchaliśmy spowiedzi, a więc od wtorku rano po mszy od godziny 6 zaczyna ten spowiadać, który miał mszę św., inni zaś później przychodzą do konfesyonału i spowiadają aż do 8½, a potem po kazaniu aż do 12 godz. Po południu zaś spowiedź trwa od 4 do 6 godz., i po wieczornem kazaniu od 9 do 11-tej, a nawet do 12. W sobotę na zakończenie seryi żeńskiej po kazaniu błogosławieństwo papieskie i specyalne upomnienia. W następną niedzielę znów tak samo jak w poprzednią i porządek taki sam. Cieszyliśmy się bardzo, widząc, że misya dobrze idzie, lecz w drugim tygodniu już nie tylko byliśmy zadowoleni, ale dziwiliśmy się, widząc, że w kościele mężczyzn tak wiele, iż pomieścić się nie mogli, a tak było przez cały tydzień. Widać, że nie pomogli socyaliści, bo wszyscy poprzychodzili. To też kościelny powiada do jednego z nas: „Proszę Ojca, wszystkie socyalisty przyszli do kościoła. Niewiadomo, czy jutro przyjdą, bo jakiś naczelnik socyalistów przybyć ma z Pittsburga i mieć zebranie na hali polskiej". Na drugi dzień znów woła misyonarza: „Wie Ojciec co? wszystkie socyalisty w kościele, musieli zapomnieć o zebraniu. A no! (kiwa głową), P. Bóg mocniejszy". Dowiedzieliśmy się później, że prowodyr był, ale zobaczywszy, że na hali pusto, odłożył zebranie na nieograniczony czas. Tymczasem mężczyźni chodzili na misye jeszcze lepiej niż w niedzielę, a obawy nasze były płonne, bo Bóg dał, że wszystko szczęśliwie poszło. Do spowiedzi garnęli się ludzie bardzo i chociaż nam nikt ze swieckich księży nie pomagał, wyspowiadaliśmy wszystkich, tak że w sobotę na wieczór już tylko resztki przychodziły. Sami nawet ludzie mówili: „To się nam pięknie wydarzyło; tak nas dużo, a wszyscyśmy się wyspo-

wiadali, i to każdy u Misyonarzy". Wszystkich spowiadających się było 2600. W sobotę rano musiał ks. Kołodziej opuścić nas i wyjechać do Brooklyna N. Y. do ks. Misickiego, aby w niedzielę rozpocząć misyę tygodniową, pozostało nas więc tylko dwóch, ks. Słupiński i ks. Ściskalski na samo zakończenie. W ostatnią niedzielę misyi dopołudnia we dwóch powiedzieliśmy 3 kazania, a po sumie uroczysta procesya po kościele do ołtarza M. B. i 4-te kazanie o czci M. B., a następnie uroczyste oddanie M. B. całej parafii. Po południu mieliśmy mieć zakończenie na wieczór, ale ks. proboszcz zakłopotany powiadał, że mu się wszyscy ludzie nie pomieszczą. Cóż robić? Każdyby chciał być. Urządziliśmy więc o 3 godz. pierwsze zakończenie dla dzieci, niewiast i młodzieży, a drugie o 6 godzinie dla mężczyzn i poświęcenie krzyża misyjnego.

Pomimo tego na obydwóch zakończeniach był kościół przepełniony i ludzie z ogromnem namaszczeniem się zachowali. Zakończenie odbyło się tak: Najpierw uroczyste nieszpory z wystawieniem, a potem procesya z krzyżem. Krzyż nieśli najsilniejsi i najpoważniejsi parafianie, a do asysty szli przestawiciele wszystkich towarzystw, a więc 2 mężczyzn, 2 kawalerów, 2 panny, 2 niewiasty, no i dla kompletu, żeby już nikogo nie brakowało, dwóch małych chłopców i dwie dziewczynki. Każdy z nich trzymał wstążkę zawieszoną u krzyża i tak uroczyście wyruszyliśmy z procesyą po kościele, z powrotem wróciliśmy do wielkiego ołtarza, tu postawiliśmy krzyż na stopniach ołtarza, a niosący trzymali krzyż, cała asysta ustawiła się po obu bokach parami, ks. Ściskalski zwrócony do krzyża w asystencyi ks. Słupinskiego i proboszcza odśpiewał prefacyę i poświęcił go. Wspaniała była to chwila, kiedy krzyż stanął ponad głowami, a wstążki zwieszały się i nikły w rękach pojedyńczych osób, jakby mówiły, że jak te wstęgi z krzyża, tak wszystkie łaski właśnie z krzyża spłynęły i spływać miały na wszystkich, od starców aż do najmniejszych dzieci tej parafii. Po odśpiewaniu odniesiono krzyż na miejsce przeznaczone. Po poświęceniu,

kazaniu i błogosławieństwie odbyło się pożegnanie Misyonarzy. Na drugi dzień w poniedziałek według zwyczaju Zgromadzenia odprawiliśmy Mszę św. żałobną z asystą za zmarłych parafian, a ponieważ nas było 2, więc ks. proboszcz z największą ochotą asystował wraz z ks. Słupińskim, a ks. Ściskalski odprawił mszę i kazanie od ołtarza. O 8 godz. odprawiono znów mszę żałobną również z asystą i z wigiliami. Ksiądz Ściskalski zaraz o 9 godz. musiał pojechać za ks. Kołodziejem do Brooklyna na misye, a ks. Słupiński jeszcze został dzień a na drugi dzień wyjechał do Brooklyna z pomocą do spowiedzi. Tak mniejwięcej odprawiamy wszystkie misye.

Opisałem tę misyę szczegółowo, aby czytelnicy poznali, w jaki sposób odprawia się misya w Ameryce.

Następna misya u ks. Misickiego w **Brooklynie** trwała tylko tydzień, bo niedawno była misya odprawiana przez naszych. Jak już wspomniałem rozpoczął tę misyę ks. Kołodziej w niedzielę 16 października, a w poniedziałek przybył tu ks. Ściskalski jako drugi. I tak we dwóch odprawiali misye. Nie było tu dwóch seryi, bo zdawało się, że się nie opłaci rozdzielać tak małej parafii. Niestety jednak przekonaliśmy się, że tu potrzeba koniecznie co najmniej 10 dni i dwóch seryi, gdyż na końcu tygodnia zaczęli ludzie nie wiadomo skąd tak napływać, żeśmy nawet o 12 godz. w nocy spowiedzi skończyć nie mogli.

Mówiliśmy więc kazania do wszystkich razem uwzględniając potrzeby każdego stanu i wady miejscowe. Taksamo jak w Salem urządziliśmy i tu błogosławieństwo dzieci z wkładaniem medalików Cudownych. Zapał matek był ogromny, przyprowadziły nawet najmniejsze. To też jak starsze dzieci zanuciły pieśń do Matki Boskiej tak i niemowlęta się przyłączyły i przyznać trzeba, że zdobyły rekord, bo i starszym wszystko pomieszały, a nawet misyonarza nie dopuściły do słowa, który też pomnąc na słowa Zbawiciela wyrzeczone do Faryzeuszów w czasie wjazdu do Jerozolimy: „Jeśliby ci milczeli, kamienie wołać będą“ (Luc. XIX. 40) — ani nie bronił krzyku ani nie miał ochoty silić się w swem przemó-

wieniu, zagłuszyć ten żywiołowy płaczliwy harmider. Medalików sprzedano jakie 4000, a znowu wielka część nie zaopatrzyła się w nie, bo w pierwszych dniach wszystko rozchwytano. We wtorek wieczór przybył ks. Waszko z Derby i ks. Słupiński z pomocą do spowiedzi. Spowiadaliśmy więc w pięciu Misyonarzy aż do soboty rana, ks. Waszko bowiem musiał wrócić ho Derby, a ks. Słupiński pojechał na 40 godz. nabożeństwo do Norwich, w stanie Connecticut. Pozostali kończyli misyę, jak zwykle w niedzielę na wieczór, t. j. 22 października. W poniedziałek rano ks. Ściskalski pojechał do Filadelfii do ks. Trawniczka, aby pomódz w spowiedzi na 40 godz. nabożeństwie. Ks. Kołodziej pozostał jeszcze dzień, gdyż w poniedziałek wypadło św. Jana Kantego, patrona tutejszej parafii, a więc odpust. Powiedział więc kazanie rano na sumie i na wieczór na nieszporach. Cały bowiem odpust polega na tem, że rano jest msza św. śpiewana, czasem nauka, a dopiero na wieczór po pracy jest właściwa uroczystość. Podszas całej misyi było u spowiedzi 1100 ludzi. We wtorek rano pojechał ks. Kołodziej także do Filadelfii, gdzie jeszcze zdążył na 40-godz. nabożeństwo. A na drugi dzień przybył także ks. Słupiński. Tak więc znaleźliśmy się znów razem w Filadelfii, gdzieśmy się oddali „dolce farniente" u ks. Trawniczka prawie przez cały tydzień. Ponieważ w tym czasie wypadła uroczystość Wszystkich Świętych, a później Dzień Zaduszny, przypomnieliśmy sobie czasy dawniejsze na Kleparzu i Stradomiu i odprawiliśmy uroczyście Nabożeństwo żałobne ranne i wieczorne, a potem razem w pięciu księży odśpiewaliśmy nieszpory żałobne; jeden z księży powiedział kazanie. Na drugi dzień rano znów odśpiewaliśmy całe Officium Defunctorum i uroczystą mszę z konduktem, a w tymsamym dniu już o 10 g. księża Słupiński i Ściskalski wyruszyli koleją do Union City na misye.

Union City, Conn. — Jak już wspomniałem, wyjechaliśmy z Filadelfii 2 listopada o godz. 5-tej do Union City. Jest to niewielkie miasteczko położone nad rzeką Connecti-

cut i najbliższa parafia polska naszego domu w Derby, godzina drogi tramwajem z Derby. Polacy tu niedawno się osiedlili i do dziś dnia jest ich niewielu (1100), bo fabryk stosunkowo mało.

Mimo tej szczupłej liczby są bardzo niespokojni, jakiś duch buntowniczy wśród nich panuje. W roku 1905 na prośby ich pozwolił im ówczesny biskup z Hartford ks. Tierney założyć parafię polską, a jako proboszcza naznaczył ks. Maciejewskiego. Zaraz na początku stawiali księdzu pewne trudności i żądania, i to było początkiem wszystkich dalszych nieporozumień pomiędzy księdzem a parafią. Nic nie pomogły ani praca ani kazania ks. proboszcza, ani nawet mjsye O. O. Jezuitów nie potrafiły ich uspokoić, wciąż im czegoś brakowało, to proboszcz nieodpowiedni, to chcieli zabrać do siebie kasę parafialną wbrew ustawom kościelnym tutejszej dyecezyi, to znowu szemrali na długi.

Ks. Maciejewski wszakże spodziewał się, że wreszcie się uspokoją. Wybudował im ładny kościół, szkołę, plebanię, dom dla Sióstr, w końcu urządził jeszcze raz drugą misyę pod kierownictwem O. O. Redemptorystów, tutaj wychowanych i znających dobrze stosunki amerykańskie. Przyszli, odprawili misyę, ale skutku żadnego. Owszem teraz dopiero zerwała się burza w parafii. Doszło wreszcie do tego, że w r. 1911, a więc już w 6-tym roku założenia parafii wszyscy jakoby zastrejkowali, to znaczy postanowili nie chodzić do kościoła. Biskup zrazu upominał, potem groził zamknięciem kościoła, ale to nic nie pomogło. Zaledwie 50—100 osób najczęściej przychodziło w niedzielę na mszy św. Reszta zaś w czasie nabożeństwa pozostała albo w domu albo najczęściej w halach piła i grała w karty. Co gorsza, towarzystwa parafialne zagroziły nawet pod karą 5 dolarów wstępu do kościoła tak, że tylko ukradkiem ludzie na mszę świętą w niedzielę i święto dochodzili, a trzeba przyznać, że niektórzy chętnie żądaną karę płacili. Upór więc był ogromny i nawet wyraźna kara Boża ich nie opamiętała, bo oto pewien młodzieniec, który w święta Wielkanocne zeszłego roku naj-

zawzięciej bronił innym wejścia do kościoła, w tymsamym dniu spadł z 3-ciego piętra i zabił się.

Taki stan trwał aż do września ubiegłego roku. W tym bowiem miesiącu ustąpił ks. Maciejewski, a na jego miejsce nastał młody ks. Paweł Piechocki. Za przybyciem jego ludzie zaczęli chodzić trochę więcej do kościoła. Wielkiej poprawy wszakże widać nie było, znowu zaczęli czegoś żądać i odgrażać się. Ks. Biskup będąc zaraz po naszej misyi w Rockville u ks. Sołtyska zaproponował, czyby nie było dobrze znowu urządzić misyi w Union City i prosił, aby którzy z naszych, znający stosunki i położenie, odprawili tamże misye. Zgodziliśmy się i stanęło na tem, że misya będzie od 3 listopada do 13, a podjąć się jej mieli księża Słupiński i Ściskalski. Parafianie niektórzy, dowiedziawszy się o tem, po szynkach odgrażali się, że misyi nie potrzebują, bo nie są dzikimi Indyanami, tylko tym misye są potrzebne. Wziąwszy to wszystko pod uwagę nie bardzo wesoło nam się ta misya zapowiadała. Szliśmy jednak na nią, nie w tej myśli, aby coś zdziałać dobrego, ale dla spełnienia woli Bożej. Misyę jak zwykle rozpoczęliśmy w niedzielę na sumie, najpierw serya dla niewiast 6 dni, a drugie sześć dni dla mężczyzn. Pomnąc na zasady naszych ojców, a zwłaszcza naszego Czcig. ks. Kiedrowskiego: „Pociągnij dzieci, a będziesz miał wszystkich“, zwróciliśmy się głównie do dzieci, do tych dusz nieskażonych jeszcze złością. A tym też rzeczywiście misyi było potrzeba. Wskutek nieporozumienia ludzi z kościołem, dzieci te były bardzo zaniedbane pod względem religijnym, nie chodziły wcale ani do kościoła a tem więcej na katechizm. To też większa część opuszczona rozbijała się po ulicach, o religii zaś nie miały pojęcia, a nawet i pacierza nie umiały. To i owo dziecko chodziło na katechizm do kościoła angielskiego, ale z tego niewielka pociecha. To też zaraz na początku ogłosiliśmy, żeby wszystkie dzieci przyszły na naukę i do spowiedzi. Stawiły się, ale nie wszystkie, zwłaszcza te, które uczęszczały do angielskich Sióstr, świeciły nieobecnością. Mimo to urządziliśmy dla nich naukę.

W tym celu wykreślilismy z programu nauką do ludzi zaraz po stacyach, a w jej miejsce uczyliśmy dzieci katechizmu. Dla urozmaicenia uczyliśmy dzieci pieśni polskich do Matki Boskiej, a to bardzo dzieciom i starszym się podobało. Całą drogą z kościoła do domu i z domu zwykle te pieśni nauczone przez misyonarza nuciły.

Po kilku dniach dzieci tak się rozruszały, że już regularnie po nauce, rozumie się w szkole publicznej angielskiej; o godz. 3½ wszystkie podążały na misyjny katechizm, co dzień było ich więcej, wreszcie już wszystkie, nawet angielskie, chodziły. Nie powstrzymał ich nawet deszcz. Coś na 4-ty dzień spadła po południu tak straszna ulewa, że myśleliśmy, że ani stacyi, a tem mniej katechizmu nie będzie. Tymczasem o oznaczonej godzinie mimo strasznego deszczu wszystkie dzieci się zjawiły. — Takie nauki kosztowały nas trochę, ale cieszyliśmy się bardzo widząc, jak za dziećmi i starsi podążali i słuchali katechizmu. Później dowiedzieliśmy się, że wielu tylko dla tego przychodziło na misye i do spowiedzi, bo dziecko się pytało: „Kiedy tata pójdzie na misye“? A już nie było końca radości i zapału, kiedy w drugim tygodniu urządziliśmy błogosławienie dzieci, w czasie którego dzieci śpiewały pieśni do Matki Boskiej, wyuczone przez Misyonarzy. I tak przez całą misyę uczyliśmy dzieci katechizmu, a pożytek z tego taki, że dzieci przyzwyczaiły się znowu do kościoła i chodzą teraz na katechizm, którego przyjeżdżają udzielać SS. Nazaretanki z Derby.

Lecz i starsi nie pozostali w tyle za dziećmi, zapał dzieci i im także się udzielił. Przychodzili do kościoła i słuchali kazań. Czy skutek będzie jaki, o tem sąd do nas nie należy; to tylko można skonstatować, że zrobiliśmy, co było w naszej mocy, i że prawie wszyscy się wyspowiadali; nawet tacy, co już bardzo dawno nie byli. Wyspowiadaliśmy we dwóch przeszło 1000 osób. Dużo przychodzi także z sąsiednich parafii i okolic. Kilku wszakże burzycieli nie przyszło, ale lepiej, bo ci teraz zostali zdemaskowani. Misye zakreślone na 10 dni przeciągnęliśmy właściwie do dni 12, ludzie

życzyli sobie jeszcze dłużej, ale z powodu tego, że ksiądz Słupiński musiał wyjechać z kazaniem na 40-stogodzinne nabożeństwo do Cleveland, Ohio, trzeba ją było w 12 dniu zakończyć. Zakończyliśmy ją uroczyście w piątek, kościół był przepełniony, wystąpiły wszystkie towarzystwa, nawet Stowarzyszenie Dzieci Maryi rozwiązane w czasie zaburzeń parafialnych, na nowo się zawiązało (ale zdaje się tylko dla parady). Poświęciliśmy krzyż misyjny i zwykłym sposobem zakończyliśmy misyę. Tej samej nocy wyjechał ks Słupiński do Cleveland, gdzie miał stanąć dopiero na drugi dzień około 11 w nocy, zaś ks. Ściskalski pozostał sam w Union City na trzy dni, dla głoszenia kazań w czasie czterdziestki, która miała zastąpić jakoby dalszy ciąg misyi. Ponieważ w czasie misyi nie dało się urządzić ofiarowania parafii Matce Boskiej, urządzono więc to ofiarowanie na końcu Czterdziestki. Byłoto jakoby drugie zakończenie, równie uroczyste, a uroczystość tę uświetnili jeszcze swem przybyciem ks. Superyor Waszko i ks. Studziński z poblizkich Derbów. Ks. Superyor Waszko wygłosił kazanie odpustowe w Waterbury, sąsiedniej parafii, a zostającej pod opieką proboszcza z Union City. Ksiądz Studziński zaś sam celebrował wieczorem nieszpory, po których cała parafia ze łzami w oczach oddała się pod opiekę Najśw. Maryi Panny.

Tak więc skończyła się ta misya bez najmniejszego dyssonansu. Nieuprzedzony mógłby sądzić z przebiegu misyi, że to najlepsza parafia. Jeśli coś dobrego było z misyi, niech Bogu będzie chwała, że przez nas raczył je sprawić. Czy jednak na długo wytrwają? Ks. Proboszcz pisał, że zmiana w parafii nastąpiła, a choć wichrzyciele chwytają się różnych sposobów, aby wzburzyć znowu lud, nie udaje im się ta sztuka.

Buffalo, N. Y. — Ks. Słupiński i Ks. Ściskalski mieli się zjechać z dwóch przeciwnych stron w Erie i odpocząć po raz pierwszy we własnych pokoikach w nowo wybudodowanem kolegium; lecz inaczej się stało. Ks. Ściskalski musiał po powrocie z Union City pojechać do Conshohocken, żeby zastąpić proboszcza w czasie opuszczenia parafii przez

niego, zanim zamianowano drugiego. Ks. Słupiński dopiero na drugi tydzień wrócił z Cleveland. I dopiero w sam dzień wyjazdu do Buffalo zjechali się w kolegium, skąd po obiedzie wybrała się cała partya Ks. Słupiński, Ks. Kołodziej i Ks. Ściskalski do Buffalo, do Północnej dzielnicy, t. zw. Black Rock (Czarna Skała), niedaleko, bo tylko 2 godziny drogi od Erie. Jest to część miasta Buffalo zamieszkała przez ubogą ludność wszelkich narodowości: Polaków, Rusinów z Galicyi, Niemców, Słowaków i Anglików. Wszystkie te narodowości mają tu swe kościoły, a wszystkie niedaleko od siebie stoją. Polacy stanowią tu największą liczbę z pośród wszystkich narodowości. Osiedlili się już tutaj bardzo dawno, bo parafia istnieje już 21 lat. Początkowo nie było ich wiele, dopiero za przybyciem tu obecnego Ks. Proboszcza Ludwika Chodackiego przed 14 laty parafia zaczęła szybko wzrastać, tak, że dziś liczy blizko 6 tysięcy dusz, a więc 11 część samej ludności polskiej Bawolego grodu, jak Polacy nazywają to miasto. Są to po większej części ludzie świeżo przybyli, wyłącznie prawie z Galicyi. Wielu wśród nich t. zw. bortników (od słowa board — stołowanie się), którzy chwilowo tylko tu przebywają, a co pewien czas wracają do kraju i znowu przyjeżdżają, albo jeśli zasmakują w Ameryce, osiedlają się na stałe, sprowadziwszy z kraju żonę i dzieci. Dla takich ludzi wędrownych potrzeba silnej ręki, aby ich utrzymać przy wierze i kościele, a świeżo przybyłych, aby podnieść także materyalnie i wyszukać im pracę. To też Ks. Chodacki rozumie dobrze to położenie naszych ludzi i oddaje im nieraz wielkie przysługi. Przybyły z kraju jako maturzysta z gimnazyum krakowskiego ukończył studya teologiczne w Detroit, wyuczył się dobrze angielskiego języka i zapoznał się doskonale ze stosunkami robotniczymi w Ameryce. Syn prostego gospodarza z pod Tarnowa zna doskonale zwyczaje, wady i braki naszego ludu i wie czego mu potrzeba, kiedy przybywa do Ameryki. Mając takie doświadczenie, spełnia znakomicie zadanie swoje jako duszpasterz polsko-amerykański. Wszystkimi się opiekuje, każdemu dopo-

może, poszuka pracy; każdy się więc do niego udaje, miasto do różnych wyzyskiwaczy-agentów, a również sami dyrektorzy fabryk jego rady zasięgają w sprawie robotniczej. Nie brak i przykładów, jak ten zacny kapłan wpływa i na samo urządzenie fabryk: by na około fabryki był kawał ogrodu, aby robotnik miał możność umycia się, zanim fabrykę opuści, a co najważniejsza, by fabryka nie pozwalała na karczmę w pobliżu. Biada bossom (dozorcom), gdyby się ośmielili wyzyskiwać robotnika lub niesprawiedliwie traktować; postara się odrazu, by ich usunięto.

Wszędzie go pełno, choć nigdzie długo nie zabawi, ma czas każdego wysłuchać, każdemu coś powie. Głos jego donośny, wszędzie słychać, jak tego gromi, tamtemu znów coś wesołego powie, to znów śpiewa stare polskie pieśni. A śpiewak znakomity! W kościele tak przed, jak i w czasie nabożeństwa sam w śpiewie przewodniczy, to od ołtarza, to z chóru lub tylnej ławki, gdzie pomiędzy chłopami jego ulubione miejsce, skąd zarazem przestrzega i porządku w kościele. Tak zajęty w kościele, w kancelaryi, nie zapomina i o szkole, i tam często zagląda, jakkolwiek ks. Wikary wykłada katechizm. Przedewszystkiem jednak dba o chorych w szpitalu. Przynajmniej raz albo dwa w tygodniu odwiedzi wszystkie szpitale, gdzie leżą Polacy. Bo też rzeczywiście, jeśli kto z Polaków jest opuszczony i pożałowania godny, to ci chorzy w szpitalu. Ani doktor, ani siostra czy pielęgniarka, ani służący nie rozumieją po polsku; leży więc ten biedak czasem zupełnie opuszczony, bo nawet krewnych lub znajomych tu niema. Takich Łazarzów, których nieraz zaraz na początku ich przybycia do Ameryki nieszczęście spotka, tu pełno w Ameryce. To też kiedy taki biedak nagle usłyszy nasze staropolskie „Niech będzie pochwalony“, w tej chwili uśmiech na twarzy się pokaże, jak gdyby zapomniał o chorobie, jak gdyby brata rodzonego zobaczył. Bywa, że znajdzie się pomiędzy takimi i niedowiarek, socyalista, uprzedzony do księży; ale kiedy zobaczy księdza polskiego w szpitalu, zapomina o swojej nienawiści i nieraz ze łzami w oczach

całuje go w rękę, ku zdumieniu protestantów, którzy tego zwyczaju nie rozumieją. Takich nie trudno potem nakłonić do spowiedzi. Tu się pokazuje w całej pełni, jaką potęgę i moc wywiera ojczysta mowa i co może zdziałać gorliwy kapłan polski. Ks. Chodacki wie o tem dobrze i chętnie spieszy do szpitala, odwiedza i spowiada chorych Polaków, jakkolwiek wielu z nich nie należy do jego parafii. Czasu do tego nigdy mu nie braknie. Nawet w czasie misyi nie zaniedbał tego. Piszący o tem sam w czasie 2 tygodni był tam aż 4 razy z proboszczem. Zaraz na wstępie można było poznać, że Ks. Chodacki nie jest tu rzadkim gościem; wszyscy go witają, proszą na salę, pokazują, gdzie chory leży. On zaś do każdego pójdzie, zapyta się o zdrowie, powie jakąś pocieszną anegdotkę, idzie do drugiego, trzeciego etc. i znów prędko spieszy do domu, bo tam nabożeństwo misyjne. Nieraz już po wieczornem nabożeństwie misyjnem bierze kapelusz i spieszy do swych chorych po domach i do szpitali. To też nierzadko nawet po 12 w nocy widać go wracającego do domu i po drodze jeszcze spełnia duszpasterski obowiązek, bo zagląda do polskich szynków i wypędza do domu, jeśli kogoś jeszcze przy wódce zastanie.

Raz na takiej wycieczce spotyka go parafianin i pyta: „A gdzież też Jegomość tak późno bywał?“ A on spokojnie, ale dobitnie odpowiada z uśmiechem, wcale się nie zatrzymując: „A bo w mojej parafii mam takich łajdaków, że nie tylko we dnie, ale i w nocy muszę ich gonić, jakoby policyant“. Chłop zawstydzony tylko się poskrobał.

Mimo, że już 14 lat siedzi w tej samej parafii, ma jakoś spokój; przytem gospodarny i przezorny, zanim się zabierze do budowy kościoła, który obecnie w suterenach (basement) się znajduje, najpierw gromadzi pieniądze; tak zebrał już 60 tysięcy dolarów i dopiero w tym roku na wiosnę rozpocznie budowę kościoła. (C. d. n.)

Ks. Marceli Słupiński.

Wśród Polaków w północno-zachodnich Niemczech.

Northeim. — Kiedy w Dreźnie na konferencyi w sprawie wychodźczej kreślił Dr. Caro smutny obraz niedoli polskiego robotnika i krzywdy pruskiej na nim, domagając się poprawy ich losu, posłyszał w odpowiedzi szydercze słowa dyrektora centrali berlińskiej (barona von dem Bussche-Kessel): „Jeżeli los, który na nich tu w Niemczech czeka, rzeczywiście jest tak straszny, czemuż cisną się setkami tysięcy do nas?“

Bolesnem jest szyderstwo buty pruskiej; boleśniejsze jeszcze to, że nędza naszego kraju zmusza naszego chłopa do porzucenia pieleszy ojczystych, głód go wypędza z pod własnej strzechy, głód nim powłóczy po ziemiach obcych i głód każe mu pójść w ciężkiej niewoli szukać kawałka chleba. Jesteśmy w tem nieszczęśliwem położeniu, że kraj nasz nie wyżywi, nie może wyżywić wszystkich. Mamy w Galicyi pod pługiem 5,500.000 ha ziemi; ale choćbyśmy mieli w rolnictwie złote stosunki, choćbyśmy na każdej piędzi swej ziemi zaprowadzili t. zw. gospodarstwo intenzywne, to i wtedy jeszcze byłby zbytek rąk roboczych, wtedy jeszcze 1,200.000 żyjących z roli nie miałoby na roli co robić. Tylko przemysł, ogromny przemysł mógłby dać im zajęcie, a więc i sposób do życia. A tego niestety nie mamy.

Skoro własny kraj nie dosyć ma chleba, trzeba go szukać poza jego granicami i choć źle tam jest, choć szydzą i łupią, choć krzywdzą i kopią, przeklinają i złorzeczą, choć wiarę chcą wydrzeć, język i narodowość, to przecież pracę

dają, a za pracę grosz. To straszne! Wiedzieć, że gardzą nami i poniewierają, gnębią i upadlają, a przecież wyciągać do nich rękę po chleb, bo kraj go nie daje, cisnąć się do nich, bo w domu głód i nędza. Nie obejdziemy się na razie bez nich. Łatwo obliczyć, że rocznie wychodztwo sezonowe przynosi Galicyi 84 miliony koron czystego dochodu. To jest minimalna liczba, którą Prusy nam wypłacają. Liczę bowiem tylko 300 tysięcy wychodźców, a jako przeciętny zarobek 280 koron rocznie na osobę. Tymczasem bardzo często jest zarobek ich znacznie wyższy, jak to zresztą już z tego widoczne, co poprzednio podawałem o ich zarobkach. A 84 miliony koron mniej lub więcej, w budżecie kraju tak biednego jak Galicya, nie jest bynajmniej rzeczą obojętną.

Tu w Northeim, w pobliżu Getyngi, dowiedziałem się właśnie o takim panu, który za pracę razem z groszem płacił maltretowaniem i poniewierką. Jest to Gustaw Hartmann w Berwartshausen; niemożliwie brutalnie obchodzi się z ludźmi, tak, że zmaltretowani ze skargami przychodzą pokryjomu do miejscowego proboszcza, inni nocą uciekają. Podobno w tym roku to już trzecia grupa robotników u niego zajęta; dawniejsi pouciekali. Myślał ksiądz proboszcz nawet o tem, żeby zrobić doniesienie do berlińskiej Centrali.

W Northeim i w całej okolicy jest dużo dóbr poklasztornych, pokonfiskowanych w różnych czasach po reformacyi przez rządy. Zarządza niemi t. zw. Klosterkammer, która w rzeczywistości ma znaczenie kasy tylko, bo rolę w dobrach poklasztornych zwykle uprawiają dzierżawcy. Polacy więc tu zajęci, pracują nie wiedząc o tem, na roli, która przed wiekami dawnymi klasztory żywiła i biedaków.

Mogło było więcej przybyć na kazania i do Sakramentów św.; miałem 380. Przeważnie byli to królewiacy. Dosyć dużo pochodziło z Poznańskiego, zwłaszcza ze Słupi. Ucieszyli się ci ostatni, bo dowiedzieli się już poprzednio od miejscowego księdza o mojem nazwisku, z domu zaś dawniej jeszcze otrzymywali listy, gdzie rodzice i krewni opisywali im misye w Słupi odprawione; tak więc od pierwszej zaraz

chwili odnosili się do mnie jak do znajomego. Odległości są dla wielu ogromne, szczególnie dla tych, którzy przyszli z Catlenburga i z Lindau; po 2—3 i więcej godzin. Nie wiadomo, czemu; ale proboszcz w Lindau nie prosi do siebie nigdy księdza polskiego, jakkolwiek wielu ma Polaków w obrębie swojej parafii; oni więc, chcąc dostać się do spowiedzi, muszą daleką drogę odbyć do Northeim. Była w tem niedogodność największa ta, że choć naczczo przybyli z tak daleka, choć naczczo czekali u konfesyonału mojego aż do popołudnia, to przecież nie dostali się do spowiedzi św. i nic nie sprawiwszy wracać musieli do domu. Nie zdołałem ich wszystkich wyspowiadać. Odeszło ich bez spowiedzi może 150—200. Żeby tego uniknąć na przyszłość, prosiłem księdza proboszcza, aby w przyszłych latach wzywał księdza polskiego zawsze już na piątek, tak, żeby miejscowi robotnicy polscy mogli się wyspowiadać w nocy z piątku na sobotę, a dla tych, którzy z daleka przybędą, niechby już pozostała następna noc z soboty na niedzielę i niedziela cała; tylko w ten sposób uniknie się bardzo przykrego dla obu stron zawodu, albo też niechby i proboszcz w Lindau osobno zapraszał do siebie księdza polskiego. Złe dało się tym razem tylko tak naprawić, że tym, którzy już żadną miarą czekać nie mogli, kazałem przyjść do Nörten, gdzie miałem w przyszłą niedzielę pracować; ale też w części tylko, bo to przecież znacznie dalej dla nich.

Sam zaś spieszyć musiałem do **Grauhof** leżącego u podnóża gór Herceńskich. W przepięknym barokowym kościele poaugustyańskim odprawialiśmy nocami z 4 na 5 i z 5 na 6 września nabożeństwa. Wyspowiadawszy 211, spojrzawszy z daleka na prastare miasto Ottonów i Henryków, na Goslar, czemprędzej udałem się do Salzgitter, gdzie trzeba było do bierzmowania przygotować mniej więcej 40 Polaków. W niedzielę bowiem miał tu przybyć ks. biskup Bertram. Pouczyłem ich, wyspowiadałem, komunię św. i medaliki rozdałem nocną porą z piątku na sobotę; w niedzielę

jednakże, przy samem bierzmowaniu już być nie mogłem, bo w planie pastoracyjnym miałem Nörten wyznaczone.

Zacząłem pracę w **Nörten** zaraz w sobotę wieczorem 7. września. W sobotę miałem tu zajęcie tylko do godziny 11-tej w nocy. Inni odłożyli sobie wszystko na niedzielę. Wczas rano konfesyonał już był oblężony; przyszli i ci z Catlenburga, którzy przed tygodniem w Northeim nie mogli doczekać się spowiedzi. Rano o godzinie 7 odprawiłem mszę św., Polacy przystąpili do komunii św., a potem po sumie powiedziałem im kazanie o godzinie 10. Spowiedź była ciągle jeszcze, ale tylko do godziny 3 popołudniu. Teraz więc dopiero można było czas obrócić na kazania i nabożeństwa. Ksiądz proboszcz bardzo zacny i gorliwy, nietylko nic nie miał przeciwko temu, że Polacy śpiewali, ale i na to się zgodził, żeby w każdą niedzielę po nabożeństwie pośpiewali trochę polskich pieśni, które wszyscy znają. Wieczorem w niedzielę jeszcze było dużo spowiedzi, a na poniedziałek kazałem jak najwcześniej rano przyjść do komunii św. i tym, którzy już w niedzielę ją przyjęli. Zrobili to samo i we wtorek i środę rano o godzinie 4 i prosiłem, żeby starali się jeszcze w najbliższą niedzielę przystąpić do komunii św.

Żeby o wszystkich Polakach się dowiedzieć, objechaliśmy z X. proboszczem dwory okoliczne, ani jednego nie pomijając, i pokazało się, że znaleźli się tacy, którzy ani nie myśleli o spowiedzi. Wizyta jednakże nasza i tych nakłoniła i przyszli.

W czasie, kiedy cały świat katolicki kupił się we Wiedniu i brał udział w kongresie eucharystycznym, spotkał mnie w **Detfurth** gorzki zawód. W późną noc czekałem, przyszło 11 ludzi. Polacy są w dworze Wesseln i w Bodenburg. Przyszli tylko ci pierwsi, a także nie wszyscy; z Bodenburg zaś wcale nikt się nie pokazał. W dworze Wesseln chorowała jedna z robotnic. Nazajutrz więc poszedłem do niej z Panem Jezusem. Godzina drogi. Zrobiłem to pieszo, bo wogóle katolicy są tu uboższą ludnością, a księża tutejsi są kontenci, jak mają dosyć chleba i trochę masła do niego,

według wyrażenia X. biskupa hildeshajmskiego. Żaden z nich koni nie trzyma; nie stać ich na to. Droga piękna, owocowe drzewka po lewej i po prawej stronie, słońce pięknie świeci, niebo czyste, a tylko wyższe szczyty herceńskie muskały mgły szare; pięknym był świat. Ale ponurem to mieszkanie, w którem chora leżała. Porządek tylko z grubsza zrobiony, po wierzchu tylko, dlatego, że ksiądz miał przybyć, ale wszystko mówiło, że jak tylko ksiądz pójdzie, zaraz znów zagości tu nieład i niechlujstwo. Stary, prawie do upadku chylący się budynek przeznaczono robotnikom sezonowym na mieszkanie. Myślałem, że będę mógł rozmówić się z tymi, którzy wczoraj nie przybyli do kościoła. Nie udało mi się, bo oprócz chorej i włodarki nikogo nie zastałem w kasarni, wszyscy inni byli w polu. Z powrotem nie bardzo mi się spieszyło; ale zamiast rozgoryczać się zawodem doznanym i rozmyślać o brzydocie duszy ludzkiej, napawałem się pięknościami przyrody. Szedłem powoli, brewiarz odmawiałem, a kolarze i przechodnie z pośpiechem mnie mijający darzyli mnie czasem pogardliwem, zdumionem spojrzeniem.

Po południu znacznie dłuższa droga mnie czekała do stacyi kolejowej w Grossdingen, dokąd trzeba iść ze dwie godziny, a stąd koleją do Börssum, aby się dostać na nowe miejsce mojej pastoracyi do **Heiningen**. Ale z Börssum do Heiningen znów pieszej drogi trzy kwadranse. W jednym dniu dwadzieścia kilka kilometrów zrobiłem; serdecznie już byłem utrudzony, kiedy przybyłem pod wieczór o godzinie 6 z Börssum do Heiningen. Dziś robotnicy wrócili wcześniej z pola, o godzinie 7 już byli w kościele i mnie też wkrótce trzeba było zaczynać. W miejscowym dworze pracuje 44 Galicyan; wszyscy od Bochni. Włodarza mają dobrego, dba o moralność wśród nich i o obowiązek niedzielny. To też jest spokój pomiędzy nimi i stosunki tak unormowane, że i trudno sobie lepiej życzyć. Poznałem ich bliżej, bo byłem tu dosyć długo, mianowicie od piątku aż do wtorku, a to dlatego, że proboszcz przed mojem przybyciem wyjechał do Wiednia, więc w części go zastępowałem. Wieść o moim

pobycie szeroko się rozeszła po okolicy i zewsząd napływali polscy robotnicy nawet z Brunświku. Szczególnie w niedzielę miałem ich bardzo dużo. Wyspowiadałem wszystkich 428.

Zachęcałem ich do częstej komunii św. i posłuchali. Przez te 4 dni rozdałem 1500 komunii św. Robiłem to wogóle wszędzie, gdzie tylko mogłem, a zwłaszcza teraz, w tych dniach, kiedy to tak entuzyastyczne szły wieści z Wiednia od czcicieli Eucharystyi, uważałem to za swój obowiązek wszystko możliwe zrobić dla podniesienia kultu Najśw. Sakramentu. Wszędzie też uświadamiałem moich słuchaczy, że Ojciec św. udzielił zupełnego odpustu w dniu komunii św. tym wszystkim, którzy w duchu połączą się w tym czasie z uczestnikami wiedeńskiego kongresu.

We wtorek, 17 września poszedłem chętnie za wezwaniem księdza z **Quedlinburga**, aby też Polaków jego parafii odwiedzić. Musiałem przy tej sposobności przebyć z Harzburga całe góry herceńskie przez Nordhausen aż do gór Kyfhäuserów, znanych z legend o Fryderyku Barbarosie. Za parę godzin miałem być w stolicy cesarzy potężnych, do której pielgrzymowali w zamierzchłej przeszłości Mieszko i Bolesław Chrobry. Stare cesarskie miasto, od czasów Henryka I., najulubieńsze miejsce pobytu dla cesarzy z rodziny Saskiej, dziś jest przedewszystkiem miastem kwiatów. Każda piędź ziemi w mieście i w najbliższej okolicy zamieniona jest w ogród i z wszystkich stron pola uśmiechają się najkraśniejszymi kwiatami. Hodowla kwiatów słynna. Moi Polacy także do znacznej wprawy doszli pod okiem zawodowych hodowców i żałowali, że to u nas niema takich kwiecistych miast. Nie miałem tak bardzo dużo zajęcia, bo ich niewielu było; popołudniu mogłem zwiedzić pamiątki. Na zamek poszedłem, który pamięta czasy Henryka I. Tu też jest jego grób i żony jego Matyldy. Bazylika zamkowa dziś jest w ręku protestanckim. Ironią dziejową to tylko nazwać można, że obok świętej matki Ottona spoczęła taka Aurora Königsmark. Ponieważ zaś wogóle ta krypta wykuta w skale piaskowca ma dziwną własność konserwowania, więc można się przypatrzeć nie-

boszczykom z przed kilkuset lat wcale dobrze zachowanym; jednakże Aurora najlepiej zachowana, najświeżej jeszcze wygląda.

Przez Halberstadt wracałem, aby w piątek pod wieczór stanąć w **Henneckenrode.**

Tak strasznego zaniedbania się we wszystkich obowiązkach nigdzie nie znalazłem, jak tutaj. O innych rzeczach lepiej nie mówić, ale do kościoła nawet nie chodzą, choć mają do niego jakie sto kroków. Przez całe lato dwa razy byli w kościele. To daje miarę ogólnej atmosfery pomiędzy nimi. Wyspowiadałem ich 39, wszyscy z Galicyi od Rzeszowa.

Lepszych, daleko lepszych zastałem w **Schladen,** gdzie spowiedzi miałem 338, a komunii św. przeszło 1000. Za to mnie już nie dopisywały siły i nie mogłem tyle zrobić dla nich, ileby się należało.

W czasie od 24—27 września odbywał się w Norymberdze „Caritastag", wiec miłosierdzia, w którym brałem udział, tem chętniej, że chciałem poznać, jak rozwijają się dzieła miłosierdzia w katolickich Niemczech. Poznałem, że konferencye św. Wincentego mają cokolwiek inny pokrój tu w Niemczech, niż nasze, a także niż francuskie. Ale w organizacyi wszystkich dzieł dobroczynnych i w samym wiecu przez cały czas panował taki wzorowy porządek, że literalnie żadna ewentualność nie była niespodzianką, nie zastała nieprzygotowanych, wszystko do najdrobniejszych szczegółów było przewidziane i obmyślone. Że zaś paryskie konferencye chcą na całym świecie uświetnić rocznicę Ozanama, wyobrażałem sobie i w duchu z całego serca życzyłem i naszym konferencyom już naprzód, żeby rocznica tego apostoła miłosierdzia pokrewnego duchem zamieniła się i dla naszej Polski na taki wspaniały, imponujący wiec miłosierdzia chrześcijańskiego. Ostatni dzień poświęcony był zwiedzaniu pamiątek przeszłości, których Norymberga takie bogactwo posiada. Rozumie się, że najbardziej mnie interesowało w nich to, co w jakimkolwiek związku stało z działalnością naszego mistrza Wita Stwosza. Z Polaków byłem ja sam jeden, jak-

kolwiek inne narodowości wcale licznie się prezentowały; sam też poszedłem pomodlić się u grobu Stwosza na cmentarz św. Jana.

Przez Würzburg, przez Fuldę i Getyngę wracałem pospiesznie na nowe miejsce pastoracyi do **Bilderlahe**, gdzie za dnia wyspowiadałem 107, a nocą 78.

W poniedziałek 30 września byłem w **Dorstadt**, gdzie przyszło do spowiedzi 102, a mogło było przyjść ze 200. We wtorek byłem w **Liebenburg**, gdzie jeszcze gorszy stosunek między tem, co powinno było być, a tem, co było. Przyszło ich bowiem 36, a z tych do spowiedzi jeszcze mniej, bo 27, a w najbliższej okolicy jest do 250. W tym wypadku całą winę ponosi włodarz, bo i sam nie przyszedł i innych uwiadomił dopiero wtedy, kiedy od 2 godzin już wyczekiwałem nadaremnie w pustym kościele. Za te zawody przykre znalazłem pewną rekompesatę w **Bockenem**. Tu więc przeciwnie, i ci, którzy pojedynczo lub po kilkoro są u bauerów, prowadzą wprost budujące życie. Przypisują to czujności uczciwego włodarza, a potem także systemowi kartek polecających, które tutejsi wychodźcy otrzymali od swoich księży i złożyli u tutejszego księdza, a to w tym celu, aby ten ostatni przed ich powrotem do kraju jesienią mógł zanotować parę uwag o ich sprawowaniu się przez cały czas sezonowej pracy.

Na niedzielę 6 października stawić się miałem w **Celle**, gdzie już raz byłem. Mijały już dni piękności puszczy.

Całą zaś pastoracyę znów zakończyłem na Wilhelmsburgu, do którego wracałem jako na teren pracy znany dobrze z poprzednio tu spędzonych dni i tygodni.

Ks. Wilhelm Szymbor.

Cudowny Obraz Pana Jezusa Ukrzyżowanego
w kościele Księży Misyonarzy w Milatynie Nowym.

VI.
Uposażenie klasztoru OO. Karmelitów Bosych.

(Dokończenie).

Prócz zapisu 33 tysięcy złp., rozległych gruntów, obejmujących prawdopodobnie całe terytoryum obecnego Nowego i część Starego Milatyna, licznych prestacyi na rzecz Konwentu, ciążących na dobrach Łączyńskich, była nowa rezydencya OO. Karmelitów Bosych w Milatynie wyposażona w obszerny parterowy klasztor murowany. Z aktu abolicyjnego wynika, że składał się z dwóch części: nowszej i starszej, nazwanej przez komisarzy die älteste Wohnung. Obydwie części tworzyły jednak jedną całość. Klasztor liczył dwadzieścia jeden cel, kilka różnych depozytoryów i lamusów, które się ciągnęły wzdłuż kurytarzy schodzących się pod kątem prostym. Wszystkie okna były zaopatrzone w kraty i po części w okiennice. O klauzurze niema wzmianki, lecz tylko o furcie. Kurytarze, a po części i cele były wyłożone cegłą, sufity zaś i stropy były dylowane. Cały klasztor był pokryty gontami. Ażeby dać wyobrażenie o poszczególnych celach, przytoczę dosłowny wyjątek z „Wirtschafts-Inventarium“, który tak n. p. opisuje część starszą: „Von da rechs gegen die Kirche zu in die sogenannte älteste Wohnung oder Nr. I. Thür aus weichen Brettern gepfalzt mit 2 Eisenbändern u. Regeln, dann französischen Schloss und Schlüssel. Darinnen zweiflügliches Fenster in Blei gefasst mit 4 Eisenbandeln und

Hageln, dann zwei Schubriegeln, von aussen mit einem eisernem Stab und Drahtgitter versehen. Zweifliglicht grün angestrichener Fensterladen an 4 Bandeln und Haggeln. Ferner in dieser Wohnung weisser Kachelofen und Kamin“. Starsza część klasztoru przytykała do kościoła pierwotnego pod wezwaniem św. Mikołaja Biskupa tak, że ostatnie ubikacye były przeznaczone na pomieszczenie służby kościelnej i na zakrystyę; tędy też było wejście z klasztoru do kościoła. Kościół ten był zbudowany na terenie między kościołem dzisiejszym a bramą i dzwonicą obecną, jak to wynika z nowoodszukanego „Compendium omnium memorabilium porrectorum ad varia subsidia in negotiis Eccles. paroch. Milatin. confectum 27 Aprilis 1794⁰. Stąd się dowiadujemy, że ówczesny kapelan Milatyński, X. Stanisław Baron Błażowski, 5 maja 1797 roku, prosi cyrkularny urząd w Złoczowie, by zezwolił usunąć mury starego kościoła, które stoją w ruinie i zasłaniają front obecnego kościoła „supplico, Incl. Caes. Reg. Circulare, ut capellam antiquam, tanquam minime necessariam, expensis Głogowianae demoliat, quae tanquam frustra occupat locum et nonnisi obumbrat frontem ecclesiae“. Wobec tych szczegołów, upadają wszystkie przypuszczenia o możliwem położeniu tak starego kościoła, jak i klasztoru [1]).

Jedne zabudowania klasztorne otoczone były murem, drugie stały poza jego obrębem tam, gdzie dzisiaj bieleją biedne domki miejscowej ludności. W obrębie murów, prócz kościoła i klasztoru, znajdowały się: Wychodząc z klasztoru na prawo, stał skład drzewa, a za nim stajnia na dwanaście koni. Stąd wracając się ku drodze (Zloczowerstrasse) stał po stronie prawej drewniany szpital dla chorych robotników, służby i ewentualnie pątników. Szpital ten przeżył O. O. Karmelitów w Milatynie. Po kasacie został jednak zdemolowany, poczem w myśl fundacyi Alojzego Nepomucena został zbudowany nowy, przeznaczony wyłącznie na mieszkanie dla ubogich, obsługujących kościół parafialny. Szpital ten

[1]) Roczniki Zgromadzenia, 1910.

istnieje dotąd, wznosi się jednak na innem, odpowiedniejszem miejscu.

Za szpitalem była brama wjazdowa na obejście klasztoru, a za nią wozownia i pomieszkanie dla służby folwarcznej. Ludność miejscowa była wolna od pańszczyzny tak na rzecz dworu jak i klasztoru i dlatego, po uwłaszczeniu ludności wiejskiej w r. 1848, mieszkańcy Milatyna Nowego stali się biedniejszymi od chłopów wiejskich, bo tym przypadły w udziale grunta, a tamtym pozostało w ręku tylko rzemiosło, które źle się rentowało. Aby więc im przyjść z pomocą, okoliczni panowie postarali się u rządu o otwarcie tygodniowych jarmarków, któreby im ułatwiły zarobkowanie.

Powyżej mieszkania dla służby, stały dwie obszerne oficyny murowane. Po kasacie klasztoru, mieszkał w nich kapelan lokalny; dzisiaj stoi w tem miejscu szkoła ludowa. Jeszcze dalej w górę, stał szpichlerz drewniany, który zdaniem komisyi abolicyjnej, mógł pomieścić wygodnie tysiąc korcy zboża.

Poza murami była klasztorna gospoda (Klosterwirtshaus), o kilku ubikacyach z wyszynkiem i jadłodajnią. Do gospody przylegał olbrzymi i okazały zajazd, w którym znaleźć mogło pomieszczenie najmniej 40 par koni. Na końcu znajdowało się znowu kilka obszernych ubikacyi. Pod całym tym budynkiem ciągnęły się głębokie piwnice, które niejednokrotnie służyły na skład amunicyi lub prowiantów, a w czasie powstań były schroniskiem dla żołnierzy. W Milatynie bowiem, zamieszkałym przez ludność polską, skupiała okoliczna szlachta ochotników, których później ukradkiem za granicę do poblizkiej Rosyi wysyłała. Gmach ten stoi do dzisiaj i znany jest pod nazwą Austeryi, a podobnie jak za czasów Karmelitów, tak i dzisiaj mieści zajazd, wyszynk i jadłodajnię. Prócz tego znajduje tu pomieszczenie Kółko rolnicze, Czytelnia, Sokół, kancelarya gminna i areszt. Austerya ta, o której wspominają wszystkie większe i szczegółowsze geografie Galicyi, jest dzisiaj własnością gminy, nabytą od

JWP. T. Bochdana byłego właściciela Milatyna. Wielka szkoda, że nie zakupiono jej na własność parafialną, dzisiaj bowiem oddałaby wielkie usługi miejscowym duszpasterzom.

Obok Austeryi, po prawej stronie, posiadali Karmelici browar i gorzelnię (Brauhaus) oraz słodownię. Na środku placu, między murem klasztornym, Austeryą, a browarem, stał duży murowany skład i magazyn z pięknemi piwnicami. Po kasacie nabyli go właściciele Milatyna Starego i zamienili w obszerny dom mieszkalny. Tu znalazło przytułek kilka zakonnic ze skasowanych przez Józefa II. klasztorów panieńskich. Tu mieszkał cały szereg eks.-zakonników, wydalonych z Królestwa przez rząd moskiewski. Wśród nich byli i z Galicyi, n. p. O. Józafat Gackiewicz i O. Ignacy Sergiusz Rakocinski, Reformaci, kilku Kapucynów i t. d., którym w tych opłakanych czasach, zaciasno było żyć w granicach reguł zakonnych, lub skutkiem kasaty, życie tułacze wieść byli zmuszeni. Tu znaleźli przytułek i utrzymanie wygnańcy polscy, księża z królestwa, oraz księża uniccy z Chełmszczyzny, którzy woleli pójść na wygnanie, aniżeli zaprzedać Unitów schiźmie. Pamięć ich dotąd żyje, bo byli to kapłani wielkiej wiary i pobożności; wprawdzie byli ritus graeci, mieli jednak gorące serce i duszę polską. Nie przyjął ich episkopat ruski i duchowieństwo niższe w Galicyi, bo ogół ruskiego kleru, w przeciwieństwie do obecnych czasów, był świętojurski, t. j. przychylny Moskwie. Metropolita Lewicki wprost im oświadczył: Dyecezya Chełmska nigdy nie podlegała jurysdykcyi tutejszych Metropolitów, ja nie mam nic do was, ani wy do mnie, pomimo przyrzeczenia danego Ojcu św., że wszystkich przyjmie! Byli i tacy wśród ruskich dygnitarzy cerkiewnych, którzy im mówili: Trzeba było tam siedzieć i robić, co rząd chciał, my tu nie mamy miejsc dla was![1]). Odepchnięci od swoich, znaleźli przyjęcie i opiekę w wyższym i niższym klerze łacińskim, a kolatorzy polscy, z biegiem czasu, oddali im beneficya we własnych dobrach. W Milatynie przebywali między

[1]) Ruś galicyjska i jej separatyzm. Gródek 1888 p. 45.

innymi X. Emilian Sieniewicz, Jan Szokalski, Gronkiewicz, Wasilewski i t. d., a z kleru łacińskiego: Księża Rylski, Matraś, Bożentowicz, Mielechowicz i inni. Na ich miejsce pojechali do Chełma, na pomoc krwiożerczym Moskalom zaprzańcy i odstępcy od wiary grecko-kat. księża z Galicyi, Naumowicz, Głowacki, Marków, Dobrzański, Płoszczański, Popiel, Kuziemski, Diaczan, Cybik i cała zgraja innych. — W tym domu utrzymywał swoim kosztem pan Hieronim Sas Łodyński, jeden z właścicieli Milatyna Starego, biednych, z którymi nieraz razem pacierze odmawiał. Był również ritus graeci, uważał się jednak za szlachcica polskiego; był nim rzeczywiście. Bywał na nabożeństwie tylko w kościele milatyńskim, gdzie chętnie siadał do organu i śpiewał godzinki o Panu Jezusie Milatyńskim. Umarł w Milatynie starym; tam jest też pochowany — ale napis na grobowcu jest polski. Obecnie dom ten należy do ostatniego proboszcza Milatyńskiego X. kan. Justyna Mielechowicza.

Z tyłu za murami opasującymi kościół stała klasztorna cegielnia, o czem świadczą już tylko doły. Poniżej rozpościerały się łąki okalające kilkunasto-morgowy staw. Wały i groble świadczą, że prowadzono tu racyonalne gospodarstwo rybne. Na prawo od cegielni, w stronę dalszej tamy, znajdował się młyn wodny z pomieszkaniem i sadem dla mielnika. W tem miejscu rosną dzisiaj na łąkach skarłowaciałe drzewa owocowe i wierzby

Tyle szczegółów o dawnym klasztorze i zabudowaniach dawnej rezydencyi OO. Karmelitów Bosych w Milatynie przechowało się do obecnych czasów. W jakim stosunku pozostaje obecna plebania do dawnego klasztoru trudno mi rozstrzygnąć, bo jak zobaczymy później, obecną plebanię zbudował w roku 1828 X. Warmuziński. Łatwo być może, że zbudował ją na części fundamentów byłego klasztoru, być może, że niektóre części zachował i złączył z domem nowym, o czemby świadczyły mury niejednostajne i wogóle w całej budowie uderza brak jednolitości.

Obok Pani Teresy Łączyńskiej, mieli OO. Karmelici w Milatynie licznych innych dobrodziei, w dalszych i bliższych dworach, którzy im rozmaite datki składali in natura, ex voto et devotione erga thaumaturgam Imaginem D. N. Jesu Christi. Do takich należeli: hr. Zamojski w Kozłowie, hr. Mierowie z ziemi Buzeckiej, hr. Czaccy na Toporowszczyźnie, Fr. Cieleski, chorąży Bydgoski, Koźmiński, pułkownik W Kor., Godzki, wojewoda Podlaski, Horodyński, starosta grodzki Lwowski, Rzewuski, kasztelan Podolski, dalej Radziwiłłowie, Jabłonowscy, Sapiehowie, Bogusze, Szemiottowie, Podlewscy, Radzimińscy, Siekierzyńscy itd. Największymi zaś dobrodziejami byli: Nikodem Kazimierz na Szumsku Woronicz, kasztelan Kijowski, Franciszek Głogowski, starosta Krzywiecki, i Karolina z Radziwiłłów Rzewuska, rotmistrzowa chorągwi pancernej.

Wedle aktu, in Castro Buscensi feria VI. in crastina festi Sti. Valentini presb. et mart. a. D. 1760, zeznanego przez Nikodema Kazimierza na Szumsku Woronicza, zapisał tenże na mocy skryptu z daty Kozłów, 7-go stycznia 1760, na rzecz OO. Karmelitów Bosych w Milatynie 1000 złp. na wieczną lampę przed Najśw. Sakramentem. Legat ten z 5% odsetkami, a zahipotekowany na arendzie w Kozłowie, dotąd w niczem mocy swej nie utracił, a przypadające odsetki, wynoszące na dzisiejszą walutę tylko 42 koron, wypłaca kościołowi każdoczesny tychże dóbr właściciel[1]).

Franciszek Głogowski zapisał w roku 1771 na rzecz kościoła Milatyńskiego 5 tysięcy złp. ulokowanych na 5%, które to odsetki mieli pobierać OO. Karmelici. Zapis ten brzmi w dosłownym odpisie: „Daję ten dokument w ręce Imć Księdza Benigna, Definitora Karmelitów Bosych, wikarego rezydencyi Milatyńskiej, który takowej wagi i waloru chcę mieć, jakoby przed władzami autentycznemi był zeznany i roborowany, t. j., zelo et pietate Dei ductus, zważając niedostarczającą sposobność (= zasobność) fabryki w Mi-

---

[1]) Cf. liber memor. t. I. Nr. 15. et lib. memor. 1904 a., p. 15.

latynie Pana Jezusa cudami słynącego WW. OO. Karmelitów Bosych, naznaczam corocznie na przyspieszenie tejże fabryki wypłacać za rewersem Imć Księdza Definitora lub jego następcy po złotych polskich pięć tysięcy, tj. w. p. 5.000, za którą kwotę oblig trzy przed Panem Jezusem, jedna pro anima Casimiri, druga pro anima Mariannae, trzecia pro felici secessu Francisci viventis, post sera vero fata pro anima eiusdem; a po skończonej fabryce, sumę pięćdziesiąt tysięcy, tj. 50.000 praevia locatione, do tegoż kościoła Pana Jezusa Milatyńskiego WW. OO. Karmelitów zapisać i oddać deklaruję, ktory to dokument propter diffcilem aditum actorum pro authentico mieć chcę i tenże dla większej pewności przy zwykłej pieczęci ręką własną podpisuję. Działo się w Rudzie dnia 19 Aprilis 1771 Roku. — L. S. Fr. Głogowski mp.[1]).

Dzięki tak hojnemu zapisowi, który przynosił rocznie 5.000 złp. mógł stanąć tak okazały i stylowy kościół, jaki się obecnie w Milatynie znajduje. Na mocy powyższej fundacyi odprawia się rocznie 156 mszy cichych, kapitał zaś 50.000 złp. (25.000 koron) z rocznym dochodem 1.250 kor, ubezpieczony na dobrach Rawy ruskiej, przechodził w czasach józefińskich ciężkie próby i ustawicznie malał na rzecz skarbu państwa tak, że dzisiaj wynosi już tylko 4103·76 K (!), a złączony z kapitałem późniejszej fundacyi Piotra Pleszczyńskiego znajduje się w obligacyi długu państwa Nr. 26555 na 8300 koron w. a.[2]).

Wreszcie do swoich dobrodziejów i fundatorów zaliczają Karmelici Milatyńscy P. Karolinę z Radziwiłłów Rzewuską. W roku 1758 dedykują jej w dowód wdzięczności książkę „Chwała Krzyża“[3]) i w szumnym tytule i dedykacyi

---

[1]) Cf. Lib. memor. t. I.

[2]) Cf. Liber memor. A. 1904. p. 31.

[3]) Chwała Krzyża w cudownym Milatyńskim ukrzyżowanym Zbawicielu, a tembardziej w Prześwietnem Imieniu Karoliny z Radziwiłłów Rzewuskiej, Rotmistrzowej Chorągwi pancernej i R. P. 1752 Fundatorki i osobliwszej Dobrodziejki naszej uwidoczniona od obligowanych dobroczynnością Pańską WW. OO. Karmelitów Bosych Rezydencyi Milatyńskiej.

nazywają ją fundatorką z roku 1752 i osobliwszą Dobrodziejką swoją. Mimo długich poszukiwań książki tej w ręku nie miałem, i nie znam jej treści; wiem tylko, że istnieje. Na jakiej podstawie tytułują w niej Karmelici Milatyńscy Rzewuską fundatorką swoją z roku 1752, trudno dociec, wiadomo bowiem, że jedyną fundatorką ich była Teresa Łączyńska, a Karolina Rzewuska wogóle nie była fundatorką Karmelitów Bosych, ani w polskiej, ani litewskiej prowincyi [1]). Przypuszczam, że uzasadnienie tego zaszczytu znajduje się w przedmowie wspomnianej książki. Z tytułu tej książki jednak wnioskuję, że p. Rzewuska w roku 1752 przyczyniła się czemś do uświetnienia obrazu Pana Jezusa Milatyńskiego. A ponieważ koronę i serduszko na obrazie już byli złożyli jako votum pp. Sobieszczańscy, przypuszczam, że p. Rzewuska sprawiła srebrne ramy, które do dzisiaj zdobią obraz. Przedstawiają one wielką wartość materyalną, ale przedewszystkiem artystyczną. Całość składa się z najrozmaitszych deseni i kwiatów misternych, harmonijnie ze sobą spojonych i tworzą jakby prześliczną lekką tkankę barokową. Znawcy, między innymi P. Tomkowicz z Krakowa, utrzymują, że jest to precyzyjnie kuta w srebrze robota, wykonana najprawdopodobniej we Włoszech Tak pięknych ram nie posiada podobno żaden słynniejszy obraz w kraju.

Mówiąc o dotacyi klasztoru nie mogę pominąć dwóch innych źródeł dochodu. Pierwszym była kwesta. Karmelici Bosi, jako zakon żebrzący, wysyłali z poszczególnych klasztorów kwestarzy. Ci objeżdżając dwory i dworki, nietylko chętnie byli podejmowani, ale i hojnie obdarowywani. „Każdy rad kwestarzowi, powiada Mickiewicz i stare powiada przysłowie: szczęśliwy człowiek jako kwestarz; zawsze dla niego znalazł się czyto półsztuczek płótna, masła albo sera faska, baran lub krówka i t. d.“ Kwestarze rezydencyi Milatyńskiej

---

[1]) Cf. X. Ignacy Chodynicki Z. K: Wiadomość historyczna o fundacyach klasztornych zakonu Karmelitów niegdyś w Polsce i Litwie, a później pod panowaniem Austryi, Rosyi i Prus zostających. Lwów 1846.

jeżdżąc po kweście, rozdawali obrazki Pana Jezusa i dawali chorym wino, którem zmywano obraz cudowny, w zamian odbierali hojne jałmużny zwłaszcza, jeżeli wiara i ufność chorego w pomoc Bożą za pośrednictwem tych rzeczy, w cudowny sposób wynagrodzone zostały. Nadto liczne rzesze, które codziennie do Milatyna zdążały, przynosiły z sobą najrozmaitsze dary i ofiary w naturze, najczęściej wosk, płótna, dywany lub coś z żywego inwentarza. Piękny też był u nas dawniej zwyczaj, że klasztorowi oddawano pierwociny ze zbiorów lub dochowku. Dzisiaj tego rodzaju ofiary wyszły już prawie z użycia.

Klasztor milatyński, jak widać z wyszczególnionych dotacyi i źródeł dochodu, mógł utrzymać dość znaczny zastęp zakonników, ile jednak de facto ich tu przebywało stale, trudno dociec. Według spisu klasztorów, które miały być przyłączone za Józefa II. do prowincyi zakonnej w niemieckich krajach dziedzicznych, było w Milatynie jedenastu zakonników [1]) Przed rozbiorem Polski było ich niewątpliwie więcej. W roku 1785 podpisało już tylko trzech akt cesyi [2]). Z imienia znamy tylko kilku; są to przeważnie przełożeni, którzy są tytułowani już to definitorami, już to wikarymi, już to przeorami.

Za rządów O. Mikołaja od Narodzenia Najśw. M. P. został do Milatyna sprowadzony obraz z Nowego Stawu w r. 1747. Dnia 23 listopada tegoż roku doznał cudownego skutku nabożeństwa do obrazu Pana Jezusa, który pod przysięgą zeznał, a stwierdzili go inni zakonnicy [3]). Równocześnie z nim, bawił w Milatynie O. Joachim od św. Teresy, który był kapelanem dłuższy czas u Sobieszczańskich i O. Jan, który jeździł po kweście. W czasie komisyi drugiej z roku 1775 był przełożonym czyli wikarym O. Ignacy od NMP. Anielskiej, będąc równocześnie definitorem prowincyi Polskiej [4]).

---

[1]) Cf. Chotkowski: Kościół w Galicyi t. II.

[2]) Cf. Roczniki Zgrom. 1912.

[3]) Cf. Źródło żywota.

[4]) Cf. Źródło żywota.

Dzięki jego zabiegom obraz Pana Jezusa został za cudowny uznany i ogłoszony. Jemu zawdzięczamy wydanie pierwszej książki z krótką historyą i zbiorem cudów, p. t. „Źródło Żywota“ wydane w r. 1757. Jestto najobszerniejszy wybór łask i cudów, które miały miejsce w Milatynie. Tej książce zawdzięczamy, że do dzisiaj zeznania te przechowały się, gdyż akta same gdzieś przepadły [1])

Jego następcą był O. Augustyn od św. Erazma ze Lwowa, eksprowincyał, który ogłosił drukiem w roku 1758 w nowem wydaniu „Źródło żywota“, „pomnożone świeżymi cudami i ułożeniem onychże na swoje rozdziały“. W tym samym roku ogłosili drukiem Karmelici Milatyńscy książkę „Chwała Krzyża“, o czem wyżej mówiłem. Niebawem przybył do Milatyna O. Benigny od św. Teresy, były przeor lwowski, lektor teologii, wikaryusz apostolski, zakonnik nader światły i niezmiernie czynny. Po O. Augustynie on został wikarym rezydencyi milatyńskiej Jak obaj dzielni poprzednicy, tak i on gorliwie pracował nad rozszerzeniem czci i chwały Obrazu cudownego Pana Jezusa. W roku 1769 rozpoczął pisać „Liber Miraculorum“ [2]). Mieści w sobie ten zbiór zeznań około pięćdziesięciu z autentycznymi podpisami. Ostatni nosi datę 2 stycznia 1781 roku. Powyższy manuskrypt znajduje się w archiwum Milatyńskiem. W roku 1771 ofiarował do kościoła w Milatynie relikwie w trumienkach SS. Męczenników Benignego i Eliusza. które otrzymał w darze od kardynała Colonny wraz z dokumentami. Pierwsze są wyjęte z najstarszych katakomb rzymskich św. Pryscylli, drugie z katakomb św. Cyryaka, obok bazyliki św. Wawrzyńca. W 1799 roku wydał Józef II. rozkaz gabinetowy, którym polecił utworzenie osobnej komisyi, któraby się zajęła „regulacyą“ klasztorów w Galicyi wschodniej, a w roku 1780 ogłoszono

---

[1]) „Źródło Żywota“, ponieważ jest rzadkością bibliograficzną, przepisałem dosłownie i złożyłem w aktach Milatyńskich.

[2]) Jesus Maria Joseph. Liber miraculorum patratorum ad Imaginem thaumaturgam Crucifixi D. N. J. Chti. in ecclesia Milatinensi. Conscriptus Anno Domini 1769.

tzw. „Directivregeln“, które położyły kres zakonom, a zwłaszcza żebrzącym, w Galicyi. Cios ten spadł także na Karmelitów w Milatynie. Nim przystąpiono do kasaty, pomimo, że klasztor miał swoich przełożonych, arcyb. Kicki narzucił mu „superyora“, w osobie młodego prebendaryusza z Żelechowa, X. Jana Piaseckiego, który za roczną płacą 300 flor., które konwent musiał składać, klasztorem zarządzał i w nim mieszkał. Zarządcą de nomine był O. Petroniusz, podpisujący się „praesidens“.

Dnia 21 stycznia 1785 roku przysłał prowincyał Ildefons Ingrysz O. Marceliana na wikarego, czyli przełożonego konwentu, który oczywiście także był podwładnym X J. Piaseckiego. Ale O. Marcelian widocznie nie długo bawił w Milatynie, skoro tegoż roku, dnia 11 czerwca nie on podpisuje akta cesyi, lecz Jan Bonifacy Jerzek przeor, Stanisław Łaski, Kajetan Sztuczka i Antoni Zayczek. Byli to ostatni synowie reguły św. Teresy, przebywający w klasztorze Milatyńskim. W akcie instalacyjnym pierwszego kapelana lokalnego, którym został wzmiankowany ks. J. Piasecki, 20 lipca 1788 r. brał udział O. Ildefons Ingrysz, były prowincyał Karmelitów Bosych w Galicyi i Lodomeryi, któremu towarzyszył O. Apolinary Nanocki. Po rozwiązaniu zakonu i rozprószeniu się zakonników pozostał O. Ingrysz w Milatynie; tu znalazł jakie takie schronienie u stóp cudownego Obrazu Pana Jezusa, którego cześć szerzył za młodu w Indyach, gdzie przebywał długie lata jako misyonarz. On jeden został u stóp ukrzyżowanego Pana Jezusa w cudownym Obrazie Milatyńskim, jak niegdyś ukochany uczeń Zbawiciela na Golgocie u stóp krzyża, wyczekując, co dalej stanie się z tym, któremu Bracia jego zakonni pół wieku służyli. Umarł 9 października 1790 roku w Milatynie.

Reszta OO. Karmelitów poszła w rozsypkę. Niesie podanie, że z Milatyna uszli za kordon do Berdyczowa, gdzie zamieszkałi w klasztorze swych współbraci. Więc znowu znaleźli się w miejscu, gdzie obok cudownego obrazu Matki Boskiej, odbierała wielką cześć kopia cudownego obrazu

Pana Jezusa Milatyńskiego, kopia, którą p. Marcyanna Zwolińska, miecznikowa Kijowska, doznawszy szczególniejszych łask od Pana Jezusa w czasie „inkursyi Hajdamackiej“ 1768 roku do rzeczonego kościoła ofiarowała. Niebawem w Królestwie i w prowincyach zabranych rząd rosyjski począł klasztory kasować. W roku 1867 zamknięto klasztor w Berdyczowie itd. Gaszono życie zakonne, tylko nie wygasło nabożeństwo do Pana Jezusa Milatyńskiego wśród polskich synów św. Teresy. W ostatnich dziesiątkach lat szczególniejszym Jego czcicielem był powszechnie znany asceta O. Rafał Kalinowski (1835—1907). Najdroższym skarbem, nieodłącznym towarzyszem był mu zawsze Obraz Pana Jezusa Milatyńskiego; z Nim żył, z Nim przestawał, do Niego się modlił, o Nim pisał. W ostatnich chwilach życia, trzymając go w swym ręku, najczęściej powtarzał modlitewkę, którą sam ułożył;

„O mój cudowny Jezu w Milatynie,
Znane Ci są łzy i grzechy moje,
Ratuj mię w życiu i śmierci godzinie,
Niech więc zmyją je Krwi najświętsze zdroje!“

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ks. Piotr Brukwicki.

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim.

IV.

Księża Misyonarze w Zasławiu i Białymstoku.

Colligite, quae superaverunt, fragmenta, ne pereant.

Evang. secundum Joannem VI, 12.

Zasław.

Miasto to, dobrze znane w naszej dziejowej przeszłości, teraz powiatowe na Wołyniu, należało i należy do Sanguszków i przez nich fundacya tu Księży Misyonarzy nastąpiła; a mianowicie Paweł-Karol Sanguszko, marszałek w. l. [1]), wystawił w Zasławiu kościół p. w. św. Józefa Oblubieńca w 1750 roku, w następnym konsekrowany przez Ks. Kobielskiego, Biskupa łuckiego, parafialny od 1796 r. dnia 8 listopada, przy nim klasztor i dał uposażenie.

Kościół misyonarski, najokazalszy w Zasławiu i dotąd istniejący, na Nowem mieście, tuż obok zamku dawnego;

---

[1]) Paweł-Karol Sanguszko był synem Hieronima, starosty suraskiego i Konstancyi Sapieżanki, hetmanówny w. l.; w r. 1711 już podskarbi nadw. lit., potem marszałek nadworny, a w 1734 marszałek w. l.; trzy razy był żonaty; z drugiej żony, od r. 1710 Maryanny Lubomirskiej, marszł. korn., dziedziczki ordyn. ostroskiej, zmarłej 1729 r., miał syna Janusza-Aleksandra, ordynata ostatniego na Ostrogu, a z 3, od r. 1735 Barbary Duninówny † 1791, oprócz córek, 3 synów: Józef-Paulin, Janusz i Hieronim; Paweł-Karol Sanguszko umarł 14 marca 1750 roku.

ma długości 43 łokci, szerokości 27 [1]), ołtarzy 8, 3 kaplice: św. Pawła, św. Kajetana i św. Barbary; organy o 20 głosach, portrety fundatorów etc. Klasztor kwadratowy, frontem na zachód, na prawej stronie kościoła, murowany, jak i kościół, o piętrze, dachówką pokryty, składający się z 4 kurytarzy, na dole i na górze; dwa z nich ze strony północnej, bez mieszkań, które są przy sześciu kurytarzach; w środku klasztoru ogródek kwadratowy, otoczony 47 oknami, oświecającemi kurytarze. Na dole jedna cela (w 1819 roku) zajęta na sąd ziemski, druga na archiwum powiatowe, w trzeciej szkoła parafialna, w czwartej archiwum Sanguszków, w piątej kuchnia, w szóstej refektarz, w siódmej stolarnia, w ósmej „prokura“ domowa, w dziewiątej było oratoryum, a następnie kancelarya powiatowa. Na piętrze stancyj 18, w których mieszkają Misyonarze, służba i mieści się biblioteka; nad zakrystyą, też na górze, t. z. depositorium z 3 pokoi się składające. Sufity na kurytarzach i celach sklepione.

Na dziedzińcu, murem otoczonym, znajdują się: stajnia, stajenka, mieszkanie dla czeladzi, szpichlerz i inne budynki. Nieco dalej ogród owocowy i warzywny z inspektami, 20 okien, trejbhauzem i studnią. Za murami, nad rzeczką Ponorą, plac, należący do klasztoru, 50 łokci długości, a 60 szerokości, a na nim: browarek i szpital o piętrze, ale nie dokończony, murowany, dachówką pokryty; wizyta owa zaznacza, że zbudowany w 1775 roku przez Księży Misyonarzy, a gdzieindziej [2]) czytamy o tem, że Andrzej Lemanowski, kapitan w. korn., postawił go w 1764 roku na 12 ubogich (tyleż tam ich bywało); przeznaczono dla nich 4 izby i komorę, a w drugiej części tego bydynku w XVIII. w. mieściła się szkoła, przy końcu tego stulecia zajęta na więzienie dla aresztantów, jeszcze tam się znajdujących około r. 1820,

---

[1]) Wizyta kanoniczna generalna, dokonana 1819 r. d. 7 paźdz.: oryginał w ręku piszącego; z niej czerpiemy podane tu wiadomości.

[2]) Mémoires de la Congrégation de la Mission en Pologne, Paris, 1864, t. I. Nr. 2.

a, może, nawet i później. Na „majdanie“ mieli Księża Misyonarze domek mały, drewniany, snopkami pokryty, gdzie też służba mieszkała.

W zakrystyi pomiędzy księgami liturgicznemi zaznaczony mszał ruski unicki. Ilość srebrnych sprzętów kościelnych w owym czasie była bardzo znaczna; pomiędzy nimi zanotowano 37 wotów rozmaitych przy ołtarzach; cyna i miedź też dostatnio reprezentowana; dzwonów wielkich na wieży trzy.

Refektarz niezwykle był zasobny: cynowych waz 3, półmisków takichże 20, mis 9, talerzy 28, łyżek 48, niemało takich tac (7), kuflów (12), solniczek etc.; fajansowe naczynia osobno podane: waz 3, półmisków 6, talerzy 80 i t. d.; szklanych karafek 20, kieliszków 15, szklanek 20; obrusów płóciennych 10, serwet 60; nie pamiętamy, czyśmy gdzie taką tego wszystkiego znaleźli obfitość.

Bibliotekę, jak na owe czasy, mieli Księża Misyonarze niemałą: do roku 1818 liczono w niej prawie tomów 860; pomiędzy nimi:

Pisma św. ksiąg 18, z teologii — 92, prawa kanonicznego i politycznego 40, w materyach historycznych tomów 84, wymowy kaznodziejskiej c. 200, żywotów świętych 20, liturgicznych 16, dzieł ascetycznych prawie 240, z zakresu filozofii 36, klasyków łacińskich 14, dykcyonarzy rozmaitych 16, dzieł lekarskich 14 etc. W r. 1819 nabyto nowych dzieł tomów 15; w liczbie tej znajdujemy: Chateaubriand'a Duch wiary, w tłomaczeniu, wyd. we Wrocławiu 1816 r., tomów 3; Pismo św. Nowy testament, po polsku, wyszło w Petersburgu 1815 r. (czy nie wydanie towarzystwa biblijnego szerzonego przez Galicyna?!), Teologia dogmatyczna, po łacinie, przez Engelberta Klüpfela (!), Wilno 1818, tomów 2, Pisma Jana Sniadeckiego, Wilno 1814, tomów 3, Pawła Chrzanowskiego, Wybór mowy wolnej, Warszawa 1816, Przydatek do dzieła Jana Franciszka Laharpa (nie znany nam bliżej), O skutkach magnetyzmu zwierzęcego, Warszawa 1818 i inne.

Posiadłości Księży Misyonarzy zasławskich składały się z sum pieniężnych i dóbr ziemskich.

Już w roku 1747, gdy się rozniosła wieść o mającej nastąpić tam fundacyi, Aleksander Knihiniński, chorąży kijowski, zapisał na rzecz tej siedziby zakonnej 80.000 złotych, ulokowanych na kluczu sławuckim Sanguszków; do roku 1775 pobierano od tej sumy procent 7, a potem 5; za to Księża Misyonarze przyjęli obowiązek odprawiania 4 mszy czytanych tygodniowo, a piątej, śpiewanej, co piątek, *de passione Domini cum officio de Cruce,* nadto jednego anniwersarza. W 1779 r. dnia 9 lutego Franciszek Pisarski, podczaszy mielnicki, z żoną swoją, Felicyanną z Łapińskich, przeznaczył na ten Dom 6.000 zł., umieszczonych u Hieronima Sanguszki, wojewody wołyńskiego, na Sławucie, na procencie 4; z obligacyą rocznie 120 mszy czytanych żałobnych za ofiarodawców. W roku zaś 1774 Ks. Wawrzyniec Zadarnowski, kanonik smoleński, legował 1963 zł., za które Księża Misyonarze obowiązali się corocznie jeden anniwersarz za jego duszę odprawiać.

Dobra ziemskie były od Pawła-Karola Sanguszki, który już 1748 roku dnia 20 sierpnia uczynił *erectionem novae fundationis* dla Księży Misyonarzy, wyznaczywszy na kościół, dom, zabudowania, ogrody i t. d. miejsca, traktując w tej sprawie z Ks. Wizytatorem Śliwickim (co potem aprobował generał Zgromadzenia, Ks. Ludwik Debras w roku następnym). Mający tu przybyć Misyonarze powinni byli zająć się nauczaniem prawd wiary, za fundatorów tygodniowo 4 msze odprawić, co rok jeden anniwersarz i co piątek litanię odmawiać przed ołtarzem N. M. P. Za to wszystko otrzymywali majątek, o którym niżej mówić będziemy. W roku 1750 dnia 13 kwietnia w Zahajcach, na dzień jeden przed śmiercią, wydał Paweł Sanguszko asekuracyę, że kościół zupełnie wykończony będzie z potrzebnemi zabudowaniami dla Księży Misyonarzy, którym przeznaczył trzy wioski: Wołkowce, Wołkowczyki i Neczajówkę, niekiedy Neczahówką zwaną, o czem jest już mowa w jego testamencie, sporządzonym w Lubartowie dnia

2 maja 1743 roku. Ta asekuracya oblatowana w grodzie krzemienieckim 1752 r. dnia 31 lipca. Barbara z Duninów Sanguszkowa miała dożywocie na tych trzech majątkach, ale się tego zrzekła na rzecz Misyonarzy w 1750 r. dnia 1 lipca, wskutek czego przyznana była tranzakcya na te dobra Misyonarzom zasławskim, a następnie — intromisya; tak że w połowie 1752 r. wszystko uprawnione zostało, a sukcesorowie Pawła Sanguszki sumiennie wywiązali się ze swego zadania i, spełniając wolę fundatora, dokończyli wszelkich budowli.

Głównem dominium w tym majątku były Wołkowce (dwie inne wioski, to, jakoby, przyległości), gdzie się koncentrowało najbardziej gospodarstwo; tam się znajdował dwór, największy folwark, wszelkie budynki gospodarskie: 2 lamusy, stajnie, wozownie, spichrze, chlewy, obory, rozmaite magazyny, mała gorzelnia, cegielnia, ogrody etc. Karczem było cztery: trzy w tych wioskach, a czwarta na szlaku hrycowskim; młynów też cztery: 3 o jednym kamieniu, a jeden o dwóch; pasiek dwie z 160 pniami. Koni dworskich roboczych miano 20, wołów i krów z młodzieżą 60, owiec 100, nierogacizny 68; nadto w Zasławiu trzymał klasztor dla swojej potrzeby koni stajennych 6, a 4 do rozmaitych domowych potrzeb; zaznaczony też tam kocz, bryka, kryolka, wozów kutych 2, sanie kryte, i sani 2 nie kutych.

Podczas wizyty, t. j. w jesieni 1819 roku, w Wołkowcach liczono poddanych płci męskiej 122, żeńskiej 102 (teraz tam, 1906 r., domów 122, a mieszkańców 797), którzy mieli ziemi sznurów 61, koni 50, wołów 44, pańszczyzny odrabiali dni 60 tygodniowo. W Wołkowczykach poddanych płci męskiej 86, żeńskiej 76 (obecnie tam domów 87, mieszkańców 448), posiadających pola sznurów 31, koni 55, wołów 29, dni pańszczyznianych tygodniowo 30. W Neczajówce mężczyzn 71, kobiet 51 (teraz domów 70, mieszkańców 376), mających ziemi sznurów 34½ koni 53, wołów 18, dni na tydzień pańszczyzny 31. Nadto obowiązani oni byli do pewnych danin; i tak z Wołkowic otrzymywano 63 kapłony

i tyleż kur rocznie, a jaj kop 10½ i 63 motki przędziwa; z Wołkowczyków: kapłonów i kur 60, jaj 3 kopy, 30 motków; z Neczajówki 66 kur i kapłonów, jaj kop 5½, przędziwa motków 33. Ziemi, która zapewne wtedy nie była dokładnie zmierzona, w łanach w trzech zmianach było orania na dni 311; wysiewano żyta, ozimego i jarego, korcy 70 i garncy 25, pszenicy 25, 16, jęczmienia 30, 8, owsa 90, 16, gryki 30, 8, grochu 3, prosa 4, soczewicy garncy 16, siemienia konopianego 8, lnianego 2=264, 25; zbierało się zaś, omłóciwszy, choć nie zawsze, żyta ozimego i jarego korcy 566, garncy 20, pszenicy 129, 19, jęczmienia 233, 16, owsa 617, 16, gryki 189, 24, grochu 22, 21, prosa 38, 10, soczewicy garncy 16, konopi korcy 14, lnu 11. Sianożęci miał klasztor w różnych miejscach na kosarzów 110; oprócz tego 13 morgów krzaków i małych drzew.

Dochody w owym czasie podane takie. Intraty z 3 wsi, z arendy, czynszów, danin etc. zł. pol. 7256, ale w rzeczywistości tyle nie otrzymano, ponieważ zwyczajem dawnym w to weszło też obrachowanie na pieniądze pańszczyzny, *in natura* daniny (kura 15 groszy, kapłon 20, kopa jaj 20 groszy), t. z. podoroszczny, t. j. za podwody, etc., a t. z. gotowego grosza w tem było niewiele: za 4 stawy rocznie 400 zł., arendy za karczmy 2200, czynsz od szlachty i włościan c. 200; coś tam musiano mieć ze sprzedaży zboża zbywającego i innych gospodarskich produktów. Od sum zaś pobierano wtedy procentów rocznie złotych polskich 4,324. Dochodów kościelnych, niestałych, w 1819 roku miało być zł. 1012 — summa summarum 12,582.

Z tego wydano:

Na opłatę podatków rządowych w tym roku 1249 zł. groszy 3 (?), na składki podług uchwał obywatelskich zapłacono 54 zł. 17 gr., na utrzymanie służących klasztornych i folwarcznych zł. 2.300, organiście oprócz ordynaryi pensyi rocznej zł. 120, zakrystyanowi, oprócz ordynaryi, na rok płacono zł. 40, na wino do kościoła i klasztoru wychodziło zł. 320, wosk, światło w kościele, zakrystyi i klasztorze zł. 480,

opranie bielizny i szwajcarowi wynosiło rocznie zł. 140, na aptekę, lekarza dla klasztoru i służby wydawano zł. 900; utrzymanie księży, kleryków, laików i reparacye różne zł. 6.978, gr. 10, to znaczy, że cały dochód szedł na to.

Nabożeństwo w dni niedzielne i świąteczne zaczynało się od jutrzni o 6 godzinie; o 7 bywała primaria, po której odmawiano z ludem modlitwy poranne i koronkę, a tymczasem wychodziły inne msze; o 9 godzinie odbywał się katechizm i wyznanie wiary; o 10 suma, przed nią procesya, a po Credo, kazanie, po którem akty wiary; po kazaniu wychodziła jeszcze jedna msza czytana; po sumie suplikacye i Anioł Pański. Po południu, zimą o $3\frac{1}{4}$, latem o $4\frac{1}{4}$, nieszpory, a po nieszporach modlitwy wieczorne i znowu Anioł Pański. W dni powszednie primaria o 7, po niej inne msze jedna po drugiej. W czasie adwentowym i wielkanocnym dla ludu stosowne nauki i modlitwy i przygotowania do przystąpienia do Sakramentów; kazania i nauki kolejno miewiali księża. Tak kapłani, jak i klerycy wstawali zawsze o 5; potem medytacya, trwająca pół godziny; klerycy słuchali prymaryi, a w niedziele i święta spowiadali się i bywali oprócz tego na mszach parafialnych i nieszporach.

Księża pacierze kapłańskie prywatnie po celach odmawiali. Przed obiadem i kolacyą *partyk. examen conscientiae,* a potem zwyczajne w takich razach modlitwy; o 8 godzinie wieczorem wszyscy się zbierali, letnią porą w kościele, a zimową w oratoryum, na *examen generale conscientiae;* nadto kapłani miewali *Resolutiones Casuum,* używając do tego dzieł Piotra Colleta, Pawła-Gabryela Antoine i innych autorów. Wszyscy kapłani i klerycy w adwencie i wielkim poście odprawiali rekolekcye pięciodniowe. Rocznie mszy śpiewanych, wszystkich razem, bywało 120, a czytanych, ex fundatione, 548 i anniwersarze trzy.

Przy tym kościele istniały dwa bractwa: Serca Jezusowego, za przywilejem papieskim z dnia 8 marca 1751 r., i Trójcy Przenajświętszej, też uprzywiliowane z roku 1755. Funduszu żadnego pewnego te bractwa nie posiadały; tylko

bractwo Trójcy Przenajświętszej otrzymało w 1762 r. od Rozalii Duninowej, podkomorzyny wendeńskiej, zapis na 3.000 zł., niezabezpieczony, niepewny, z obowiązkiem śpiewania koronki o Trójcy Przenajświętszej co niedziela; utrzymywały się one przeważnie z jałmużny; inwentarzy swoich nie miały.

Misyonarze zasławscy, oprócz duszpasterstwa, opieki nad szpitalem i bractwami, utrzymywali studyum dla młodzieży swego Zgromadzenia i szkołę parafialną.

Już na początku XIX. wieku wizytator Ks. Pohl zaprowadził w Zasławiu t. z. małe seminaryum, w którem w 1804 roku [1]) znajdowało się 7 alumnów, ale w 1808 roku już tam o niem niema wzmianki, lecz w 10 lat później zastajemy w Zasławiu ośmiu kleryków, którym wykładano: język łaciński, wymowę duchowną, sposób katechizowania, naukę o śpiewie i ceremoniach kościelnych, a także ćwiczono ich w regułach, obowiązujących to Zgromadzenie, uwzględniając naturalnie inne nauki, potrzebne ich przyszłemu stanowi.

Szkoła parafialna istniała tutaj już w XVIII. w., to nie ulega kwestyi, chociaż szczegóły o niej nie są znane; dopiero [2]) z początkiem stulecia następnego posiadamy wiadomości w tym względzie. Tak n. p. w 1802 r. 2 nauczycieli i 67 uczniów. W 7 lat potem uczyło się tam chłopców 83. Przełożonym zwykle bywał Misyonarz-kapłan, a nauki wykładali klerycy z tego Zgromadzenia. Bywała klasa przygotowawcza dla poczynających, w której uczono czytać i pisać, i dwie wyższe z takim programem nauk, jaki obowiązywał I. i II. klasę szkół powiatowych z pogłębieniem większem nauki religii i łaciny. W r. 1819 w klasie wstępnej uczniów 29, w I.—9, w II.—10=48 i tyleż uczących się w 1822 r.; ale we 2 lata później, 72: w poczynającej 36, w I. w dwóch oddziałach 28, w II.—8. Z tego szlachty 68, mieszczan 4;

---

[1]) Mémoires l. c.

[2]) Materjały dla istorii prośw. w Rossii, tom II., p. 565; Muzeum Czartoryskich.

katolików 67, dyzunitów 5. W roku szkolnym 1824/5 zapisało się nowych do klasy początkowej 5, do I.—30, do II.—10=45; w tem szlachty 43, włościan 2; katolików 43, dyzunitów 2. Nauczanie tu trwało, z wielkim pożytkiem, gorliwie wykonywane, dopóki można było, to jest do roku 1832 [1]).

Superyorów zasławskich w XVIII. wieku znamy tylko kilku [2]).

Jednym z pierwszych miał być Ks. Mateusz Kowalski, zmarły w 1771 r. w Krakowie w charakterze prefekta seminaryum. Urodził się on w dyecezyi kijowskiej 25 lutego 1704 r., do Zgromadzenia wstąpił 1725, a w 1734 posłano go do Krakowa, gdzie pracował w seminaryum katedralnem i na Stradomiu, skąd go powołano do Zasławia na przełożonego, a stamtąd w Warszawie i znowu w Krakowie od r. 1765 był czynnym, gdzie już do śmierci mieszkał. Odznaczał się wielkiem zamiłowaniem niesienia pomocy duchownej ubogim i wogóle niższym sferom społeczeństwa; gorliwie też pracował na misyach.

Po nim był tam superyorem Ks. Jakób Lilienthal do roku 1767, o którym już mówiliśmy wyżej, opowiadając o domu siemiatyckim.

Ks. Rudolf Sykor już w r. 1767 mianowany tam przełożonym, lecz zostawał na tem stanowisku tylko do 24 grudnia 1768 r., kiedy Bóg go powołał do chwały swojej. Rodem był z Czech; w dyecezyi praskiej ujrzał światło

---

[1]) W r. 1819 zaznaczone na składzie następujące książki szkolne: gramatyk języka polskiego, łacińskiego, francuskiego, niemieckiego i rosyjskiego ex. 18; dykcyonarzy, niepowiedziano jakich, 4; elementarzy 25, bez bliższego oznaczenia; podręczników do geograf. początkowej 10; do geograf. powszechnej 2; katechizmów 12; podr. nauki moralnej 20; wypisów na kl. I.—10, II—8; historyi biblijnej 4; arytmetyki przez Bielskiego i „narodowej" 4; wzorów do kaligrafii 15; atlas nowy, wydany w Wiedniu, ex. 1. W owych czasach w Zasławiu była jeszcze szkółka przy farze i u OO. Bernardynów, lecz misyonarska najliczniej uczęszczana: w 1808 roku uczniów u fary 21, u Bernardynów 19, a u Misyonarzy 67.

[2]) Cf. Mémoires de la Congrégation, ut supra l. c.

dzienne 9 sierpnia 1714 r., ale w Krakowie, 1736 r., przyjęty do Zgromadzenia i już do śmierci pracował u nas z wielkim pożytkiem.

Ks. Antoni Lesznowski objął rządy w Zasławiu po Ks. Sykorze; zjednał tam wszystkich sobie; Sanguszkowie, których był spowiednikiem, bardzo go poważali; godnie też czynił on zadość swoim obowiązkom, ustawicznie pracując w konfesyonale i opowiadając słowo Boże, a będąc żarliwym czcicielem obserwy. Urodził się on w dyecezyi przemyskiej dnia 20 czerwca 1719 r., do Misyonarzy przyjęty w Warszawie 1740 r., sprawował różne obowiązki w Zgromadzeniu, nakoniec został superyorem zasławskim i dość długo tam przebywał; stamtąd go przeniesiono z początku do Tykocina, a potem do Lublina, gdzie 2 grudnia 1780 r. świat ten pożegnał.

Zapewne jeszcze przy końcu XVIII. w. kierować zaczął Domem Zasławskim Ks. Paweł Grohn, zmarły tam 10 grudnia 1804 r. Przyszedł on na świat w Poznańskiem w 1728 r. dnia 11 stycznia, do Zgromadzenia wstąpił 3 kwietnia 1749 r.; bywał profesorem, superyorem w różnych miejscach, kaznodzieją i prokuratorem; kochał się w milczeniu i samotności; ułożył medytacye o męce Pańskiej po polsku, zostawił też w manuskrypcie cztery tomy kazań rozmaitych, które w swoim czasie wymownie bardzo wygłaszał.

Następcą jego był, choć może nie bezpośrednim, Ks. Izydor Kiełkiewicz, którego tam zastajemy już w 1806 roku [1]). Jednocześnie z nim mieszkali w Zasławiu w 1808 r.: Ks. Mateusz Trojanowski, asystent, Ks. Mateusz Żyszkowski, prefekt kościoła, Ks. Wincenty Michniewicz, ad parochiam, Ks. Floryan Łukaszewicz, prefekt szkoły parafialnej, Ks. Franciszek Słodczyński, też ad parochiam, i Ks. Antoni Skielędziewski, nauczyciel szkółki.

---

[1]) Kalendarzyk wileński, wydziału naukowego na rok 1807 i Cathalogus personarum et officiorum Cong. Mis. in imperio Rossiaco in an. 1808 conscriptum, bez miejsca druku, in 8-o, nie liczbw. stron.

Takim tam nauczycielem około r. 1813 był Piotr Żytkiewicz [1]), będąc jeszcze klerykiem; kapłańskie święcenia przyjął on w 1816 r.; 1830 r. spełniał obowiązki parafialne w Iłłukszcie, lecz potem opuścił Zgromadzenie.

Około roku 1818 superyorem tam Ks. Błażej Fabinowicz, bardzo ceniony przez wizytatora, Ks. Pohla, jak długo, z pewnością nie wiemy. Ks. Fabinowicz urodził się w r. 1756 [2]), profesyą wykonał zakonną w r. 1778, wyświęcony na kapłana 1783 r. Jednocześnie z nim w 1819 roku w Zasławiu zastajemy: Ks. Michała Szelickiego (piszą go też i Szeliski), ur. 1762, prof. 1783, kapł. 1787; Ks. Mateusza Trojanowskiego, 1756, 1781, 1786; Ks. Wincentego Michniewicza, 1774, 1790, 1799, Ks. Mateusza Żyszkowskiego 1778, 1797, 1802, Ks. Antoniego Sienkiewicza, 1784, 1806, 1810, Ks. Wawrzyńca Kowalewskiego, 1787, 1808, 1812, Ks. Leona Ciechockiego (może Cichockiego) 1791, 1808, 1814 i Ks. Piotra Grzymałowskiego, 1789, 1809, 1814.

Klerycy uczyli się tam wtedy następujący: Józef Zalewski urodz. 1802, prof. 1819, Szymon Jazdowski, 1797, 1819, Baltazar Dworanczyk 1797, 1819, Franciszek Rosiński, 1798, 1819, Kaźmierz Czechowski, 1800, 1819, Jan Kimborowicz 1799, 1819, Jerzy Kryszczun 1801, 1819 (jeszcze się z nim spotkamy) i Julian Herburt 1799, 1819 (czy jaki krewny bardzo znanego w swoim czasie prałata Mamerta, nie wiemy). Laików dwóch: Józef Jackiewicz 1780, 1807 i Ignacy Zarzecki, 1789, 1819=19.

Pomiędzy rokiem 1822—1824 [3]) nauczali tam w szkółce: Dominik Jakubowicz, wtedy kleryk jeszcze, a kapłan od roku 1826, rodem z Telszewskiego, wychowaniec szkół dominikańskich w Kalwaryi, i Jakób Skibicki, też kleryk natenczas.

Prawie jednocześnie z nimi uczył tam też Jerzy-Joachim Kryszczun, przed wyświęceniem swojem na kapłana, co

---

[1]) Księża Misyonarze w Iłłukszcie, Gniezno 1909.

[2]) Wizyta kanoniczna z r. 1819, o której mówiliśmy już wyżej.

[3]) Misyonarze w Iłłukszcie l. c.

nastąpiło w 1824 r.[1]). Superyorował w tych czasach Ks. Wincenty Michniewicz[2]).

Niewiadomo w jakim charakterze pracował w Zasławiu pomiędzy rokiem 1828—1829, zapewne i dłużej, Ks. Kazimierz Serafinowicz, rodem z Rossieńskiego, wyświęcony na kapłana w 1804 r.; następnie, w 1837 r., asystent domu iłłuksztańskiego, zmarły w 1840 r.

W roku 1832[3]) rządził tym domem zapewne od niejakiego już czasu, Ks. Stanisław Chełmowski, jednocześnie też dziekan zasławski, o którym posiadamy nieco szczegółów[4]). Urodził się w 1770 r. w województwie mińskiem; uczył się w Nieświeżu i Głównej szkole litewskiej; do Zgromadzenia przyjęty w 1788 r., a we dwa lata później śluby wykonał; na kapłana wyświęcony w 1793 r.; następnie piastował rozmaite duchowne godności w Zgromadzeniu; był nawet delegowanym wizytatorem w 1817 i 1819 roku, a także komisarzem w sprawie t. z. latynizowania unitów w Kurlandyi, egzaminatorem dyecezalnym łuckim lat kilkanaście, profesorem filozofii, przełożonym w rozmaitych domach etc. W r. 1847 po rozproszeniu już Zgromadzenia, jako inwalida, mieszkał przy kaplicy w Kozłowiczach, w okolicach Słonimia; dalsze losy nieznane.

Superyorem zastajemy w 1836 r. Ks. Macieja Narkiewicza, który się urodził w 1785 r., do Zgromadzenia wstąpił 1808 r., na kapłana wyświęcony w 1812 r., miał stopień S. Th. Mag., piastował rozmaite godności w Zgromadzeniu, ostatnim był przełożonym zasławskim, a po zniesieniu tam Misyonarzy, w 1842 r., proboszczem aż do śmierci

---

[1]) Misyonarze w Iłłukszcie; stamtąd też wiadomość o Serafinowiczu.

[2]) Wizyta szkółki zasławskiej 23 października 1824 r., Muzeum Czartoryskich.

[3]) W r. 1832 wizytował klasztor karmelitów trzew. w Horodyszczu na Wołyniu i na tej wizycie, mieliśmy ją w ręku, taki swój własnoręczny napis położył.

[4]) Misyonarze w Iłłukszcie l. c.

w 1851 r. Oprócz niego około 1837 r. [1]) następnych spotykamy Misyonarzy w Zasławiu: Ks. Grzegorza Szackiego, któremu wtedy zaznaczono lat 31, a powołania 7; Ks. Franciszka Młodzianowskiego, mającego lat 29, a w Zgromadzeniu 5 (?); Ks. Franciszka Starewicza 29, 10; Ks. Józefa Szymanowskiego, konsultora Domu 57, 34; Ks. Antoniego Skielędziewskiego, asystenta 57, 34; Ks. Fortunata Witkiewicza 48, 29; Ks. Mateusza Żyszkiewicza wieku lat 60, powołania 40.

Po śmierci Ks. Narkiewicza proboszczem został, długoletni jego wikaryusz, Ks. Grzegorz Szacki [2]), bardzo gorliwy kapłan, stałych, niewzruszonych przekonań, za które w 1866 roku zasłany był w głąb Rosyi do Birska; na tem wygnaniu przebywał do roku 1877, w którym go zastajemy w Pskowie, gdzie się jeszcze znajdował w 1884 r.; potem rubrycele już go nie wspominają; musiał tam Bogu ducha oddać; cześć Jego pamięci!

Po zniesieniu Księży Misyonarzy w Zasławiu, kościół, jako parafialny, pozostał i dotąd tam istnieje. W roku 1819 liczono tam parafian 2.530, przyjmujących już Sakramenta, mieszkających w miasteczku Sławucie, połowie Zasławia i wsiach 31. W roku 1856 podano parafian tylko 1806 (??); filia w Sudyłkowie i trzy kaplice bez kapłanów. W 1863 r. wiernych 3.171 (!); w 1872—3122; w 1882—5531; w 1898—3961; w 1903—4334; obecnie zaś (w 1912 roku) 4730, filia w Szepetówce z Kapłanem i 3 kaplice: w Bejzymach, Horodyszczu i Sudyłkowie.

Sławuta.

O dwadzieścia kilka kilometrów od Zasławia, w pow. teraz zasławskim, miasteczko Sławuta, dawniej Sławutyn,

---

[1]) Catalogus... in an. 1837 ut supra.

[2]) W innem miejscu podano, że się urodził w 1806 r., profesyą wykonał w 1830 r. a na kapłana wyświęcony w 1834 r.

powstało dopiero w 1633 roku, powołane do życia [1]) przez kniazia Jerzego Zasławskiego (przywilej na założenie tej osady 23 kwietnia 1633 r.); potem przeszło do Sanguszków i następnie była tu rezydencya Misyonarzy zasławskich. Świątynia tutaj katolicka datuje się dopiero od końca XVIII. w., a mianowicie [2]) z jakiegoś budynku murowanego gospodarskiego przerobiono tu kaplicę, poświęconą w 1795 r, która później stała się filialną parafii zasławskiej Księży Misyonarzy i przez nich administrowana; miała ona długości łokci 34, szerokości 12, dwa ołtarze N. M. P. i św. Krzyża, ławek 9, konfesyonałów 2, okien 8, była pobita gontami z kopułką, blachą białą pokrytą; przy niej dom, przeznaczony dla księdza, któremu dwór dawał utrzymanie; ale już w 1822 roku zaczął stawiać murowany kościół Eustachy Sanguszko, 1768—1844, p. w. św. Doroty (córka jego i siostra nosiły to imię); to budowanie trwało do roku 1845; konsekrował tę świątynię w 1861 r. Ks. Biskup Borowski (a na wzór miał służyć kościół św. Eustachego w Paryżu) i jest ona od roku 1848 już parafialną w dekanacie zasławskim (kaplica na cmentarzu).

W r. 1857 liczono tam parafian 1.175, obsługiwanych przez 2 kapłanów; w 1862 r. 1.281, a w 1873—1463 i jeden tylko ksiądz.

W r. 1882 było wiernych 1617; w cztery lata później 1.760; przy końcu zaś ubiegłego stulecia 1898 r. 3.125, lecz w 1903 r. tylko 3.028, a we cztery lata potem znowu 3.125 i obecnie 1912 r. rachują parafian 3.184, chociaż może jest ich i więcej [3]), lecz zawsze jeden tylko kapłan.

---

[1]) Katalog rękopisów arch. sławuckiego, Sławuta 1902, p. 20. Ten kniaź Zasławski, starosta włodzimierski, † 1636, był synem Janusza i Aleksandry Sanguszkówny.

[2]) Wizyta kanoniczna kościoła zasł. Misyonarzy z r. 1819, ut. supra.

[3]) Na podstawie Directoryów z tych lat.

Białystok.

Jużeśmy wyżej o tem mówili mieście, które, jak wiadomo, w XVI. wieku [1]) należało do Wiesiołowskich h. Ogończyk; z tych Piotr, ostatecznie marszałek wielki litewski, zmarły w 1620 r., zbudował tu kościół drewniany w 1584 roku [2]), a syn jego Krzysztof, także marszałek w. l., co się rozstał z tym światem w 1637 r., pamiętał o potrzebach kościoła i uczynił zapis na szkołę przy nim. Następnie Białystok przechodzi do Stefana Czarnieckiego h. Łodzia, sławnego wojownika (może razem z Tykocinem), wielkopomnego wojewody kijowskiego i nakoniec, przed samą śmiercią († 1665 r.), hetmana pol. korn., który był żonaty z Zofią Kobierzycką, a córka ich, Aleksandra-Katarzyna, wychodząc za Jana-Klemensa Branickiego h. Gryf, podstolego koronnego (zmarłego w 1673 r.), wniosła Białystok Branickim. Z tego małżeństwa syn, Stefan Branicki, wojewoda podlaski († 1709 r.), żonaty z Scholastyką Sapieżanką, wojewodzianką trocką, był panem na Białymstoku i zostawił jedynego syna i sukcesora, Jan-Kazimierza, vel Jana-Klemensa, urodzonego w 1689 r., pana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego, który się rozstał z tym światem w 1771 r. i ze trzech żon (1-voto Katarzyna Radziwiłłówna, kanclerzanka litewska, 2-voto Barbara Szembekówna i 3-voto Izabella Poniatowska, siostra króla) nie zostawił potomstwa. Trzecia żona miała dożywocie na kluczu białostockim, pomiędzy innemi; ona dopiero umarła w 1808 r., przeżywszy zabór tam pruski, chociaż często niedokładnie. znacznie wcześniej (nawet i Boniecki), podają datę jej śmierci; ona to w 1806 r. sprowadziła do

---

[1]) Mémoires de la Congregation de la Mission en Pologne, ut supra; Directoria archidyecezyi mohylowskiej z lat rozmaitych, et alia.

[2]) Directorium wileńskie na r. 1911 tak powiada o tem: Eccl. (w Białymstoku) s. t. Assum. B. M., primitiva fundatio incerta; eccl. lignea ab haereticis rapta, a Masch Petro Wiesiołowski 1584 recuperata et murata, evecta 1617; dein a. 1906 cura decani Gwl. Szware et sumptibus parochianorum nova murata aedificata".

Białegostoku Księży Misyonarzy, oddała im kościół (podobno po Komunistach) parafialny, uposażyła ich dostatnio i wyporządziła dom dla nich bardzo obszerny.

Najstarszy, znany nam, spis Misyonarzy białostockich [1]) pochodzi z r. 1808. Na czele Domu stał Ks. Kaźmierz Kubaszewski, który się rodził c. 1764 r.. wyświęcony na kapłana 1787 r.; superyorem zastajemy go tam w 1812 roku [2]), a zapewne, jeszcze jakich parę lat dłużej. Następnie, gdy powołano do życia w Białymstoku seminaryum dla kleru świeckiego, to się on sekularyzował i był jednym z prowizorów tego seminaryum, nadto mianowano go Archidyakonem białostockim i kanonikiem mohylowskim. Drukował nieco prac swoich; miał to być człowiek wykształcony i gorliwy w pełnieniu swoich obowiązków.

W tymże 1808 r. jeszcze tu czterech znajdujemy Misyonarzy.

Był tu Ks. Piotr Kalinowski, o którym też nieco posiadamy szczegółów. Przyszedł on na świat około r. 1762; miał nawet w wojsku służyć, lecz już w 1783 r. obrał sobie stan duchowny i w tym znany był z gorliwości i wypełniania obserwy; nazwano go „regułą żyjącą"; w Białymstoku mieszkał jakich lat kilkanaście; po Ks. Kubeszowskim wykładał (już w 1814 r.) religię w gimnazyum, a nawet, może, został następcą Ks. Kubeszowskiego na superyorstwie; po roku 1825 przenieśli go do Siemiatycz, potem do Szczuczyna, Wilna, Łyskowa i znowu do Wilna, gdzie w 1849 r. Bogu ducha oddał, widząc *exules filios Evae*, rozegranie braci... Oprócz niego mieszkali tam wtedy: Ks. Jan Niegardowski, który potem pracował żarliwie w Siemiatyczach, Ks. Fran-

---

[1]) Cathalogus, wyżej cytowany.

[2]) Na publiczne całoroczne popisy uczniów gimnazyum białostockiego... zaprasza dyrektor Maciejowski, Białystok 1812, in 4°, str. 41. Ks. Kubeszowski, bo i tak go nazywają, superyor, wykładał tam wtedy religię, która za czasów pruskich homeopatycznie była uwzględniana i prywatnie poniekąd dawana; dopiero od czasu przyłączenia gimnazyum do wydziału wileńskiego wprowadzono tam inne porządki.

ciszek Prusiecki i Ks. Wawrzyniec Bruszewski, też czynni później w innych domach.

Nie jest nam wiadoma dokładnie data utworzenia tutaj seminaryum na wyraźne tego życzenie Siestrzencewicza; zapewne musiało to nastąpić około r. 1815, a miał się do tego przyłożyć Ludwik Kruszewski [1]). W r. 1820 superyorował w Białymstoku Ks. Jerzy Józefowicz, który się rodził c. 1773 r., a kapłanem został c. 1797 r.; był on jednocześnie regensem seminaryum, Ks. Maciej Kolenda zaś dyrektorem, profesorami: Ks. Maciej Gierdwiłło, późniejszy katecheta gimnazyalny, i Ks. Tadeusz Rutkiewicz, obaj niedawno wyświęceni; alumnów miano pięciu [2]): Mateusz Babecki lat 28, Adam Kunicki lat 29, Adam Czerniowski lat 24, Józef Boguszewski lat 20, a wszyscy oni na drugim roku studyów, Piotr zaś Piotrowski, l. 22, dopiero na pierwszym.

We dwa lata później zmiany tam nieznaczne. Ks. Franciszek Piotrowski przełożonym, w schematyzmie dyecezalnym mohylowskim na rok 1825 zaznaczono mu lat 41, kapłaństwa 13 (chociaż te wskazówki, jakeśmy się przekonali, często bywają niezupełnie dokładne!); rządy tam przełożeńskie sprawował do roku 1833; następnie mianowany jako wicesgerens arch. białostockiego (po śmierci Ks. Kubeszowskiego); w 1835 sekularyzował się i nadal spełniał ten obowiązek (rzeczywistym archidyakonem, zdaje się, nie był), będąc Magistrem teologii i kawalerem orderu św. Stanisława 3 stopnia; po roku 1852 musiał umrzeć, jako proboszcz w Brańsku. W Białymstoku był też regensem seminaryum. W r. 1822 uczył tam, oprócz Rutkiewicza (nazywają

---

[1]) Czyby to był Ludwik Kruszewski h. Habdank, szambelan Stanisława Augusta, starosta wasilkowski, chorąży bielski, miejscowy obywatel, żonaty z Anielą Ossolińską, których synowie wylegitymowali się w XIX. w. przed rokiem 1850 w Kongresówce — nie wiemy!

[2]) Ponieważ za dawnych czasów szczególnie wyróżniano kapłanów kształcących się u Księży Misyonarzy i miano sobie za zaszczyt być w ich seminaryum, przeto podajemy nazwiska owych alumnów misyonarskich.

go też Butkiewiczem!), Ks. Michał Lewicki, Cong. Mis.; nowi alumni: Klemens Morawski, Tomasz Żukowski, Roch Boguszewski, Marcin Wyszkowski i Józef Wróblewski.

W kalendarzu kościelnym mohylowskim, wydanym na rok 1825, zastajemy w Białymstoku następujący personal: regens seminaryum i superyor, Ks. Fr. Piotrowski, dyrektor Ks. Maciej Kolenda, profesorami seminaryum: Ks. Michał Lewicki i Ks. Tadeusz Butkiewicz; alumnów czterech na kursach wyższych: Klemens Morawski, Tomasz Żukowski, Roch Boguszewski i Józef Wróblewski, tyluż na roku pierwszym: Marceli Podgórski, Kasper Zabielski, Jan Daniszewski i Maciej Klepacki.

W roku następnym uczyli w seminaryum: Ks. Izydor Jusewicz, i Ks. Adam Wyrwicz, a seminarzystów nowych dwóch: Józef Szujecki i Maciej Mierzwiński; w roku zaś 1828 nowi nauczyciele: Ks. Fr. Gan i Ks. Kaźmierz Krucewicz, a w seminaryum na pierwszym kursie: Franciszek Wierzbowicz, Feliks Kryński, Jan Bibułowicz, Jakób Krasowski i Feliks Moczarski; Józef Szujecki, Jan Szymański już na ukończeniu, a Stanisław Biały i Stanisław Lipiszko na drugim roku.

Schematyzm na rok 1830 zaznacza, pomiędzy innymi, Ks. Kazimierza Krucewicza, jako dyrektora, a Ks. Józefa de Valden, Ks. Fr. Gana i Ks. Wincentego Borkowskiego, jako profesorów seminarzyskich. Alumnów na roku czwartym 2: Jan Szymański lat 26, Stanisław Lipiszko, w takim też wieku; na roku trzecim 5: Franciszek Wierzbowicz lat 24, Feliks Kryński 23, Jan Bibułowicz 23, Jakób Krasowski (piszą go też i Kraszowski) 25, Feliks Moczarski 23; Stanisław zaś Włodkowski 26, Maciej Radziwoński 25 i Wojciech Jabłoński 21, na drugim kursie. Oprócz tego Ks. Fr. Gan spełniał obowiązek prefekta kościoła, a Ks. Wincenty Trybułowicz występuje jako o p e r a r i u s. W roku następnym z nowych: Ks. Chryzostom Łukaszewicz, dyrektor, a Ks. Mikołaj Abramowicz, profesor. Z alumnów: Wierzbowicz, Kryński i Moczarski na 4 roku seminaryum, a Wołodkowski przeszedł

na kurs trzeci; co się z innymi stało, nie powiedziano, a w r. 1832 ci trzej pierwsi zapisani na 5 roku, a Wołodkowski na 4; o nowych niema mowy.

W tymże czasie umarł w Białymstoku Ks. Józef Gojlewicz, profesor, rodem z Telszewskiego, nauki pobierający, 1814—1821, w głośnych w swoim czasie szkołach dominikańskich w Kalwaryi żmudzkiej, profesor od roku 1823, kapłan od r. 1827; zdolny pedagog, odznaczający się świątobliwością [1]). W r. 1833 Franciszek Wierzbowicz i Feliks Moczarski byli na szóstym roku studyów, a Wołodkowski na piątym; innych wtedy alumnów nie wskazano. Wówczas na czele Domu stał już Ks. F r a n c i s z e k G a n, mający jakoby lat 36, a kapłaństwa 11, jednocześnie też regens seminaryum, którego dyrektorem był S. Th. M. Ks. Jan Mierzwiński, i razem profesor, a uczył też Ks. Aleksander-Ignacy Szadurski, z Drysieńskiego, ze znanej tam bardzo i zasłużonej rodziny, wychowaniec Jezuitów w Użwałdzie, profes. w roku 1823, z powodzeniem nauczający.

W 1835 roku mieszkali w Białymstoku: Ks. Gan, jako superyor i regens, Ks. Jan Mierzwiński w charakterze dyrektora seminaryum, Księża A. Szadurski i Ignacy Łabunowski, profesorowie w niem, Ks. Wincenty Borkowski, prefekt kościoła, Ks. Ignacy Narwojsz, prokurator domu, i Ks. Józef Kulikowski spełniał obowiązki parafialne. Alumnów zaznaczono tylko czterech.

W roku następnym personel Zgromadzenia taki sam, alumnów zaś znacznie więcej; na pierwszym roku: Herkulan Gan, Piotr Kiełkiewicz, Jan Geniusz, Kaźmierz Jemielitty i Antoni Bałaskier; na wyższych kursach — o tych pierwej nie było wzmianki — następujący: Wiktor Jabłonowski, Antoni Ulbo, Marcin Górski, Aleksander Sazin (może Suzin?), Stanisław Roszkowski, Józef Koc, Józef Gołecki (może Gałecki?) i Klemens Tomaszewski. W 1837 r. podany trzeci profesor,

[1]) Misyonarze w Iłłukszcie, l. c., tamże i o Szadurskim szczegóły.

Ks. Józef Markiewicz; inni bez zmiany; a nowy alumn na pierwszym roku, mający lat 19, Franciszek Chuchliński.

Przełożonym w 1838 r. zastajemy Ks. Jana Mierzwińskiego, Magistra Teologii, ale niedługo, ponieważ w roku następnym już był w Wilnie, a po rozproszeniu Zgromadzenia, proboszczem w Kołtynianach; następnie kanonik honorowy żmudzki, proboszcz w Szkudach i tam w 1859 roku Bogu ducha oddał. Urodził się w Iłłukszcie w 1799 roku, profes. od roku 1823, a we dwa lata potem otrzymał święcenia kapłańskie. Profesorami seminaryum byli natenczas: Ks. Dominik Pleskaczewski, Ks. Antoni Skrutkowski i Ks. Józef Bąkowski; Ks. Mateusz Giełżynowicz prokuratorem domu, Ks. Józef Markiewicz ad Parochiam; alumnów ośmiu: Stanisław Roszkowski, Józef Gołecki, Klemens Tomaszewski, Piotr Kiełkiewicz, Jan Geniusz, Kaźmierz Jemielitty, Antoni Bałaskier i Franciszek Chuchliński.

Po Mierzwińskim objął rządy Ks. Jan Pajewski, urodzony r. 1789, w Zgromadzeniu od r. 1813, a kapłanem w 1818 r.; jednocześnie regens seminaryum, ale też krótko zostawał tam na tych urzędach. W tym czasie zaznaczono alumnowi Józefowi Goleckiemu studyów 6 lat, Janowi Geniuszowi 5, tyleż Antoniemu Bałaskierowi; Kaźmierz Syrutowicz znajdował się na czwartym roku, a na trzecim: Tomasz Podgórski, Felicyan Szakien i Józef Srzedziński, na drugim; Adam Talkowski, Józef Piotrowski, Jan Niemyski i Adam Radziszewski.

W roku 1840 superyorował już Ksiądz Hipolit Kossobudzki, który przyszedł na świat około r. 1809, w Zgromadzeniu w 1826; potem się uczył w uniwersytecie wileńskim, był Mag. S. T, święcenia otrzymał kapłańskie c. 1832 roku i zostawał przełożonym aż do zniesienia tego Domu, więc to superior ultimus; umarł w 1860 r. w Różanymstoku, administrując tam parafią. Profesorami seminaryum wtedy byli: Ks. Józef Bąkowski, Józef Węckiewicz, nie znany bliżej, i Feliks Rakowski, też nieznany. Alumni pierwszoletni: Szymon Koc, Kaźmierz Piekarski, Antoni Ol-

szewski, Mateusz Rutkowski i Jan Bortkiewicz, a na wyższych kursach 7.

W roku następnym, zmian niema. Alumnów dziesięciu; niektórzy z dawnych w akademii duchownej wileńskiej na studyach.

Directorium mohylowskie, na rok 1843 wydane, podaje nam spis tego Zgromadzenia białostockiego, zniszczonego i rozproszonego już w 1842 roku, byli więc to ostatni tam mohikanie.

Ks Hipolit Kossobudzki, superyor oraz regens seminaryum, Ks. Józef Bąkowski, S. Teol. kandydat, dyrektor tego seminaryum, a jego profesorowie: Ks. Feliks Rakowski, św. Teol. kandydat, Ks. Józef Węckiewicz i smutnej pamięci Edward Tupalski, który zginął haniebną śmiercią w 1872 r. (ur. 1816, kapłan od 1840); nadto mieszkał tu wtedy Ks. Mateusz Giełżynowicz, prokurator, który już po zniesieniu Księży Misyonarzy pracował tu na probostwie i przeniósł się do wieczności w 1860 roku, a także Ks. Tomasz Mioduszewski, operarius.

Alumni: Józef Piotrowski l. mający 26, w semin. r, 4, Hermenegild Uszyński, lat 23, na studyach rok 4, Szymon Koc, lat 25, w seminaryum 4 lata, Kaźmierz Piekarski, lat 24, w seminaryum 4, Antoni Olszewski, lat 25, w seminaryum 4, Antoni Bortkiewicz, lat 24, w seminaryum 4; a następujący byli na roku trzecim: Wiktor Ramatowski, Antoni Jaworowski, Julian Olszewski, Józef Skaczkowski i Marcin Gołko = 11.

Księża Misyonarze w Białymstoku zajmowali się dusz pasterstwem, uczeniem i kierowaniem seminaryum dla kleru świeckiego, a także utrzymywali tu szkółkę parafialną, czyniąc tym wszystkim obowiązkom znakomicie zadość i przynosząc tym sposobem ogromną korzyść dla naszego społeczeństwa.

Dzieje tej szkółki datują się już od pierwszej XVIII. w. ćwierci [1]), kiedy wyżej wzmiankowany Krzysztof Wiesiołowski zapisał na nią 15.000 zł. w r. 1625, z tem, aby z procentów wypłacano nauczycielowi tej szkółki, t. z. dyrektorowi, sto złotych rocznie, a resztę proboszczowi; potem, w 1746 r., Branicki powiększył ten fundusz dodaniem 30.000 zł. i wybudowaniem osobnej szkoły; zarządzali nią w czasach późniejszych, jak wnioskować można, kapelani Sióstr Miłosierdzia, a od nastania tam Księży Misyonarzy, oni sami.

Pierwotne dzieje tej szkółki, nieznane. Dzięki Ks. Prałatowi Kurczewskiemu dowiedzieliśmy się, że w 1781 roku, gdy ludność parafialna w Białymstoku wynosiła głów 2625, uczyło się tam dzieci ze szlachty 10, mieszczan 12, włościan 16=38, a w następnym 28: szlachty 6, mieszczan 18, włościan 4. Dalsze jej losy niewiadome; za czasów pruskich może nawet nie istniała. Aż dopiero w XIX. już wieku posiadamy o niej nieco szczegółów [2]): w r. 1820 uczył w niej kleryk misyonarski c. 50 dzieci czytać, pisać i katechizmu; w 1822 roku zaznaczono tam uczniów 34; w 1825 r. tylko kilkunastu, a w r. 1828 27. Dawne zapisy funkcyonowały i Uniwersytet wileński, dopóki mógł, zajmował się tą instytucyą, przez wizytatorów jego zwykle zwiedzaną, a pod opieką Księży Misyonarzy zostającą.

Po rozproszeniu Księży Misyonarzy z Białegostoku, kościół tam pozostał i jako parafialny dotąd istnieje. W roku 1860 był tam proboszczem Ks. Józef Bąkowski z Misyonarzy,

---

[1]) Ks. Prałata J. Kurczewskiego — Wykaz szkół parafialnych w dyecezyi wileńskiej, — w Roczniku Towarzystwa Przyjaciół nauk w Wilnie, Wilno 1908, tom II, p. 34—64. Bardzo tu cenne podaje Ks. Prałat wiadomości w tym względzie i ważne do dziejów naszego szkolnictwa; ale wkradła się przytem mała niedokładność, bo powiedziano, że archidyakonat białostocki w 1847 roku przyłączony do dyecezyi wileńskiej. Mieliśmy w ręku directoria mohylowskie z r. 1847, 1848, 1849 i 1850; we wszystkich jest tam jeszcze ów archidyakonat, dopiero w rubryceli na rok 1851 wydanej już go niema, znaczy, że w tym czasie dopiero te kościoły do biskupstwa wileńskiego dodano.

[2]) Wizyty szkolne w Muzeum Czartoryskich.

ur. 1811 r., w Zgromadzeniu od r. 1833, kapłanem w 1836 roku, kandydat Teologii; przeniósł się do wieczności w 1867 r. Parafian w 1860 r. liczono tam 7.090; naówczas pracowało w tej parafii 3 wikaryuszy, tyluż kapelanów, zaznaczono jeszcze kaplic 5 i filia w Janopolu z osobnym kapłanem, przy której dusz 220.

W roku 1863 wiernych 7.328; oprócz proboszcza, żadnego wikarego, 3 kapelanów, 5 kaplic i filia. W 1867 roku parafian 8.586, proboszcz, 2 wikarych, tyluż kapelanów; filii niema, kaplic 3. W r. 1869 10.750 wiernych, w 1874 r. 11.948, a 1882 r. 12.954, proboszcz, 2 wikarych, filia w Supraślu z kapłanem i tam 1.297 katolików; w 1890 zaś roku parafian (2 filie osobne) 10.692, 3 księży i 2 kaplice.

Na początku tego wieku, w 1905 r., wiernych 19.512, kaplic 2, proboszcz z 2 wikaryuszami; we trzy tata potem, parafian 20.300, obsługiwanych przez proboszcza, czterech wikaryuszy; kaplic dwie. Obecnie (w 1911 roku) tam wiernych 20,640; oprócz proboszcza trzech wikaryuszy, jeden kapelan i jeden mansyonarz, kaplic 2, a w całym dekanacie białostockim parafii 21, wiernych 100.643, kapłanów, nie licząc w to Białegostoku, zaledwo 23! Czyli, że na jednego księdza wypada, prawie, dusz 3.888. Obaczmy, jak jest gdzieindziej w tym względzie [1]). W Dunedin, w Nowej Zelandyi, jest biskupstwo, mające katolików 22.000, mało co więcej, niż w parafii białostockiej; kapłanów tam świeckich 31, zakonnych 7, Sióstr Miłosierdzia 158, 30 szkół katolickich, kościołów i kaplic 64 i 54 stacye. W Southwark w Anglii, też biskupstwo, mające wiernych 105.000, mało co więcej, niż w dekanacie białostockim; pracuje tam księży świeckich 257, zakonnych 227, kościołów i kaplic 239. W Sion w Szwajcaryi, w tem biskupstwie około 100.000 katolików, może trochę więcej, parafii 136, księży świeckich 203, zakonnych 187.

Smora.

---

[1]) Annuaire pontifical catholique par. Mgr. A. Battandier, année 1911, Paris, maison de la bonne presse.

KRONIKA.

Chiny. — Szangaj. *Szpital powszechny.* — Z listu S. Pauliny Moniak, z dnia 2 lutego b. r., do Przew. Ks. Wizytatora, zamieszczamy kilka następujących szczegółów.

W Chinach wielkie nieraz zdarzenia następują niespodzianie. Zmiana rządu naprzykład była dziełem kilku miesięcy, a nikt tego nawet nie przypuszczał. Tak i zmiana, a raczej odwołanie Sióstr z naszego domu (szpitala powszechnego w Szangaju) spadło na nas jak grom. Nie do mnie należy rozbierać i myśleć, dlaczego? Przełożeni tak postanowili, *fiat voluntas Dei;* nie przeszkadza to jednak, żeby to serce odczuło. Najpierw było długie oczekiwanie przez 18 miesięcy. Obecnie zjeżdżają już zakonnice, które nas zastąpią; z niemi trzeba pracować przez kilka miesięcy, aby im ułatwić objęcie domu. Wreszcie nastąpi rozstanie 26 Sióstr, żyjących w zgodzie i jedności, a mających się rozprószyć po całych Chinach. A wiele z nich przeżyło tu więcej niż połowę swego życia. Mnóstwo Sióstr przebywało w tym domu przez 50 lat jego istnienia, a wiele ich spoczywa na tutejszym cmentarzu. Taka wielka zmiana czeka nas. Co do mnie to powinnam się wraz z innemi zdać na świętą wolę Opatrzności, która czuwa nad nami. — W szpitalu zastąpią nas SS. Franciszkanki. Oby im Bóg błogosławił, żeby odpowiedziały zamiarom Bożym nad nową ich pracą, której my zapewne niegodne jesteśmy spełniać dalej.

Tymi dniami oczekujemy tu nowej S. Wizytatorki, piątej z rzędu, odkąd tutaj jestem. Ostatnia, ś. p. S. Pinat zmarła nagle na cholerę, po kilku godzinach cierpienia.

Chiny po rewolucyi to ni wilk ni baran. Nieszczęściem z europejskiej cywilizacyi biorą to tylko, co im może być szkodliwe. Jaka szkoda, że naród, który tak dobrze się zachował przez lat 6000, ginie powoli. Na zewnątrz rzadko tu już zobaczyć można piękny ubiór chiński; warkocze zniknęły, piękne chińskie czapeczki zastępują europejskie kapelusze itp.

A pod względem moralnym? W Kingan spalono naprzykład wszystko, co było w pagodzie, nie dlatego jednak, żeby uznawano pogaństwo za rzecz niedorzeczną, lecz, że religię uważają za rzecz niepotrzebną. Dobry poganin łatwo się nawraca, ale zwierzę bez religii bardzo trudno.

O nowej cywilizacyi chińskiej niech da pojęcie następujące zdarzenie. Dzienniki europejskie opowiadają z oburzeniem, że 40 trędowatych w barbarzyński sposób pozbawiono życia w Nanning w prowincyi Kuangsi. Misya katolicka wielkim kosztem wybudowała schronisko dla tych nieszczęśliwych. W ostatniej chwili przed otwarciem schroniska władze miejscowe poprosiły, żeby sprawę tę odłożyć trochę, gdyż zakład znajduje się zbyt blizko miasta, rząd więc zamierza dostarczyć za darmo gruntu w większem oddaleniu. Wysłano nawet podprefekta, by tę sprawę załatwił z misyonarzem. Wszystko to było sztuczką, by zyskać na czasie. W dniu 14 grudnia z. r. wczesnym rankiem otoczyło wojsko przedmieście trędowatych. Nieszczęśliwych spędzono brutalnie na miejsce, gdzie w dniu poprzednim wykopano dół, 4—5 metrów długi, 3 szeroki, a 1·50 głęboki. Wszystkim trędowatym w liczbie 39, mężczyznom, kobietom i dzieciom kazano wejść do dołu, a na dany znak zaczęto do nich strzelać. Następnie podpalono wyschłe, naftą polane gałęzie, któremi dół był wyścielony. Kilku podobno z tych nieszczęśliwych zdołało się wymknąć. Nagrodę 10 piastrów wyznaczono dla tego, kto przyprowadzi zbiegów. Tego samego dnia odnaleziono jednego z nich, 18 lat liczącego młodzieńca. Natych-

miast rozstrzelali go żołnierze za murami miasta. Sprawca tej strasznej sceny tłómaczył, że jeżeli misya kotolicka chce dobra Chin, to niech raczej pomoże do wypłaty żołdu żołnierzom, zamiast zajmować się niepożytecznymi trędowatymi. Biedne nowe Chiny! Okrucieństw wielkich dopuszczają się na swoich. Barbarzyńskie męki zadawano do niedawna jeszcze wyznawcom P. Jezusa.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Stradom. — Dnia 1 marca z r. odbył się wspaniały wjazd Najprzew. Księcia-Biskupa Sapiehy do Krakowa. W następną niedzielę, 3 marca, jako w dniu intronizacyi w katedrze Wawelskiej dawał Książę-Biskup obiad w naszym refektarzu dla duchowieństwa i świeckich panów, między nimi kilku włościan, tych wszystkich, których nie zdołał na wieczornem przyjęciu pomieścić u siebie. Odwiedzając ubogich, których podejmował obiadem u Sióstr Miłosierdzia na Kleparzu i Kazimierzu, wstąpił w południe i do nas dla powitania swoich gości. W odpowiedzi na przemówienie ks. dziekana Sańskiego z Krzęcina powitał zebranych w serdecznej przemowie.

Jakkolwiek i my powitaliśmy przy tej sposobności nowego Arcypasterza, postanowiliśmy jeszcze powitać go osobno imieniem Zgromadzenia. Tak witało Zgromadzenie jego Poprzednika, a do szczególnego powitania skłaniał nas i ten powód, że rodzinę nowego Arcypasterza zaliczamy do fundatorów jednego z domów naszej prowincyi. Dnia 11 kwietnia urządzili klerycy, zebrani u nas z obydwu naszych krakowskich domów, uroczysty dla niego wieczorek w gustownie przybranej i rzęsiście oświetlonej sali, na którą przerobiono domowe oratoryum. Na program złożyły się przemówienia, deklamacye, dobrane utwory muzyczne i śpiewy. Najczczig. ks. Wizytator w otoczeniu konfratrów, zgromadzonych ze wszystkich trzech domów krakowskich, powitał Najprzew. Księcia-Biskupa imieniem Zgromadzenia jako na-

stępcę tylu Poprzedników jego na stolicy św. Stanisława, których nasz dom liczy do swoich fundatorów i dobrodziejów. Dostojny Arcypasterz zaznaczył w odpowiedzi swój blizki stosunek do Zgromadzenia wskazując z wdzięcznością na tych z otoczenia, którzy go uczyli stawiać pierwsze kroki na polu pracy kapłańskiej. Po skończonej akademii spożył Książę-Biskup w naszym gronie wieczerzę. Dnia 21 kwietnia w dniu Przeniesienia Relikwij św. Wincentego, przybył do nas znowu ze mszą św., na której z jego rąk ks. Leopold Petrzyk otrzymał święcenia kapłańskie. Prymicye nowo wyświęconego kapłana wypadły szczególnie uroczyście w następną niedzielę na którą przypadła uroczystość św. Józefa, po raz pierwszy solennie obchodzona z oktawą w całym katolickim świecie. Konfratrzy ze wszystkich naszych domów tutejszych przybyli na tę uroczystość do nas, by odebrać błogosławieństwo z rąk najmłodszego kapłana naszej prowincyi i uprzyjemnić mu chwilę, na którą z utęsknieniem tak długo czekał, a wspólnie cieszyć się szczęściem, którego źródłem jest miłość braterska konfratrów w Zgromadzeniu.

Z początkiem maja pożegnaliśmy pierwszą partyę konfratrów, wyruszających do Ameryki północnej celem urządzenia nowego domu św. Jana Kantego w Erie, a wśród nich tak nam drogiego wszystkim brata Marcina Kudleka. Trudno nam się było oswoić z tą myślą, że jego może na Stradomiu braknąć, ale, choć spracowany i już nie młody, stanął na pierwsze życzenie przełożonych, gotów zawsze z poświęceniem udać się tam, gdzie największa potrzeba. Pojechał z bratem Józefem Olszakiem z Nowej Wsi, z którym przed laty pracowali razem z wielkiem poświęceniem w naszym domu. 15 maja opuścił nas ks. Jan Dihm, mianowany superyorem domu na Nowej Wsi, skąd jednak dalej pracuje u nas jako profesor zakładu teologicznego. 17-go maja poszedł Najczcig. ks. Wizytator, w czasie wizyty naszego domu bawiący u nas, z całą naszą młodzieżą duchowną stąd i z Kleparza ze mszą św. do grobu św. Jana Kantego. W czasie mszy św. śpiewali klerycy na chórze. Uczestniczyli

w modlitwie konfratrzy, składający drugą partyę, która niebawem miała wyruszyć do Ameryki północnej. Błagaliśmy gorąco Pana Boga za przyczyną św. Patrona o błogosławieństwo dla nowego kolegium w Erie, na którego otwarcie miał się wybrać niebawem także Czcig. ks. Wizytator. Z końcem maja ukończyli neopresbyterzy studya. Ks. Stanisław Piasecki wyjechał pierwszy na miejsce przeznaczenia do Tarnowa. 20 czerwca pojechali z ks. Ściskalskim z Nowej Wsi, serdecznie przez nas żegnani, z godną misonarzy odwagą, księża Józef Studziński i Jan Tarłowski do Ameryki północnej. W kilka dni potem podążył do Milatyna ks. Adam Piasecki, a ks. Leopold Petrzyk na Nową Wieś. Ks. Jan Szulc ciężko chory poszedł do szpitala, a stąd, po szczęśliwie przebytej operacyi, zamieszkał na Kleparzu. Rzewnie pożegnaliśmy najpierw w gronie naszej młodzieży w Krzeszowicach, a potem we Wniebowzięcie Matki Boskiej u nas misyonarzy parańskich, księży Aniceta Weissa, Jana Olszówkę i Tomasza Kanię, którzy 16 sierpnia wraz z pięciu Siostrami Miłosierdzia z prowincyi Chełmińskiej udali się przez Tryest na długą podróż morską do Brazylii. Nazajutrz wyjechał ks. Jan Cepurski do Jezierzan. Został u nas na stały pobyt ks. Stanisław Kalla. Tak się dla Pana Jezusa rozstrzeliła ta dwunastka naszych apostołów po szerokim świecie, na przykład dla młodych pokoleń, jak to trzeba, a jak to z poświęceniem można zerwać nawet święte a miłe związki braterskie. Na uroczystość św. Wincentego zjechał do nas z powrotem z Rzymu ks. Pawłowski, który po wakacyach przeniósł się na stały pobyt na Kleparz. Po ukończeniu studów wrócił także ks. Ludwik Pawliński, który pod koniec września zamieszkał w Tarnowie. Wakacye, wcześniej w tym roku zaczęte, upłynęły nam na mozolnej pracy koło adaptacyj w domu. Stare mury nasze rozszerzały się i ozdabiały na przyjęcie po wakacyach całego zastępu naszej młodzieży duchownej. Obok jedenastu kleryków studentów przybył drugi rok seminaryum w liczbie dwunastu z Kleparza, a z Nowej Wsi trzynastu kandydatów na pierwszy rok seminaryum. Dyre-

ktor seminaryum, ks. Jan Weissmann zamieszkał u nas już 24 sierpnia, a w sobotę 31 sierpnia zapełnił się cały dom po brzegi. Z Braci przybyli do nas z Kleparza Franciszek Grześko, Gabryel Majsterek, a z seminaryum czterech, tak, że liczba członków domu sięgnęła powyżej dziewięćdziesięciu. Już raz na jeden rok zebrała się cała nasza młodzież duchowna w tym domu w latach 1901 na drugi, jednak członków domu było o dwudziestu mniej. Kiedyśmy obecnie w niedzielę, 1 września zasiedli w takiej liczbie na wspólne rekolekcye, to się podnosiło serce tej starej matki naszej i wołało z wdzięcznością do Pana, za Izajaszem i św. Wincentym: „Któż mi tych narodził? Ja sama i opuszczona niedawno, a ci kędy byli?“ Niebawem miał u nas zamieszkać na stałe Najczcig. ks. Wizytator, przenosząc do naszego domu kuryę prowincyonalną. Kiedyśmy ukończyli roboty adaptacyjne, sprowadzili się do nas sekretarz ks. Karol Michalski i prokurator prowincyi ks. Antoni Weiss. Dnia 10 października zjechał wieczorem z Ameryki północnej Czcig. ks. Wizytator, a widocznie rosło mu serce, kiedy na jego powitanie otoczyła go tak liczna gromada synów duchownych. W następną niedzielę, na jego powitanie urządzili klerycy poranek Skargowski. W oktawie św. Jana Kantego ponowił Czcig. ks. Wizytator z całym klerem pielgrzymkę do grobu Świętego i odprawił mszę św. przy śpiewie chóru na intencyę nowo otwartego kolegium w Erie, o którem w modlitwach naszych nigdy nie zapominamy. W uroczystość W. W. Świętych 10 studentów, a na Niepokalane Poczęcie jedenasty składali śluby św. Dnia 18 listopada otrzymali teologowie III. roku święcenie subdyakonatu z rąk Najprzew. Ks. Biskupa Nowaka w naszym kościele, a w 4-tą niedzielę Adwentu, 22-go grudnia zostali przez tegoż wyświęceni u nas na dyakonów, przyczem teologowie I. r. otrzymali święcenia mniejsze.

Przy obszerniejszej obecnie pracy nad wychowaniem i wykształceniem kleru nie ścieśniła się w niczem nasza praca ściśle kapłańska w kościele i poza domem. Te same posługi duchowne, pomoc możliwie na każde zawołanie swoim

i obcym. Seryj rekolekcyjnych po szkołach, zakładach i domach zakonnych odprawiliśmy w ubiegłym roku osiemnaście. W pracy społecznej ks. Witaszek przy pomocy dwóch kleryków opiekuje się ubogimi chłopcami w zakładzie Brata Alberta. Ks. Konstanty Michalski objął kuratoryę i opiekę duchowną w stowarzyszeniu katolickich robotnic. Z pociechą możemy zaznaczyć, że i w najważniejszem dziele naszego powołania mamy udział przez pomoc, którą od czasu do czasu niesiemy naszym na misyach.

Dodać w końcu wypada, że Najprzew. Książę-Biskup, za zgodą Przew. ks. Wizytatora, zamianował ks. Franciszka Bączkowicza radcą kuryi biskupiej w sprawach małżeńskich.

Kraków-Kleparz. — Opatrzność Boska wyznaczyła z biegiem czasu konfratrom domu Kleparskiego pewne stałe zajęcia i prace duchowne, które nasi czcigodni poprzednicy gorliwie wypełniali i jako drogą spuściznę przekazali swym następcom. Do nich przedewszystkiem należą:

Misye ludowe. W roku 1912 odprawiono 11 misyj: 4 w Galicyi: Gorzyce, Zabierzów ad Niepołomice, Bodzanów i Cerekwia; 4 misye odbyły się w Prusach Zachodnich: Lembark, Nowa Cerkiew, Zakrzewo, Linowo; 3 wreszcie misye odprawiono w W. Ks. Poznańskiem, dwoma nawrotami w Słupi w lipcu i grudniu i w Wielkiej Dąbrówce.

Drugie drogie zajęcie przekazane nam przez poprzedników naszych są rekolekcye ludowe, które się odbywają w pierwszych i ostatnich miesiącach każdego roku. Z powodu burzenia części naszego kościółka i odprawiania nabożeństwa prowizorycznie w salach, przytykających do kościoła, nie było z początkiem przeszłego roku rekolekcyj ludowych, za to w ostatnich miesiącach kończącego się roku odbyło się 6 seryj tychże rekolekcyj, t. j. 3 serye dla osób ze Ślązka pruskiego i 3 serye dla osób z Galicyi i Królestwa Polskiego.

Prawie w tym czasie dokonano budowy kościoła naszego, który poświęcony dnia 1-go listopada 1912 przez Przew. ks. Wizytatora Słomińskiego przyjął w swe mury liczne rze-

sze przybywających na rekolekcye. Rozszerzony kościół może pomieścić i półtora tysiąca wiernych. Dom zaś, który dawniej zajmowali klerycy z seminaryum internum, służy obecnie na mieszkania dla rekolektantów. Odtąd ustały wielkie niewygody dla rekolektantów z powodu braku miejsca, a dla nas ciągła troska i obawa przed nieszczęściami.

W trzech seryach dla Ślązaków i Ślązaczek wzięło udział ogółem 130 osób; liczba rekolektantów z innych trzech seryj przenosiła 1000 osób.

Konfratrzy z dwóch domów krakowskich w razie potrzeby chętnie i pilnie pomagali.

Prócz tego konfratrzy domu Kleparskiego dawali w zeszłym roku 34 seryj rekolekcyj księżom świeckim i zakonom i różnym Zgromadzeniom, zakładom, szkołom i stowarzyszeniom w Galicyi i na Bukowinie, oraz w Poznańskiem i Prusach zachodnich.

W ciągu zeszłego roku odprawiało pojedyńczo w naszym domu swe rekolekcye 15 kapłanów z różnych dyecezyj i krajów.

Wycieczki apostolskie i pastoracyę nad wychodźcami polskimi od kilku lat rozpoczęte dalej prowadzimy, tak z naszego domu jako i z innych domów. W zeszłym roku pracował w obrębie dyecezyi Hildesheim ks. Wilhelm Szymbor dwoma nawrotami: od 28 marca do 6 czerwca wyspowiadał w tym czasie 6799 osób, za drugim zaś razem od 22 sierpnia do 20 października wyspowiadał 3521 osób. Ogółem wyspowiadało się 10.320 osób.

Praca w kościele naszym przez słuchanie spowiedzi wiernych, którzy nieraz umyślnie z daleka przychodzą, należy do tych świętych i Bożych zajęć, które bardzo wielkie owoce i błogosławieństwa Boże ściągają. Żyje jeszcze ciągle żywa tradycya po śp. ks. Piotrze Soubieille, śp. ks. Kowaliku, śp. ks. Fr. Kamińskim i tylu innych, którzy najlepszą cząstkę życia kapłańskiego złożyli Bogu w ofierze w konfesyonale. W tym roku z powodu budowy kościoła praca ta

była dla nas i dla wiernych utrudniona — mimo to liczba komunikantów w r. 1912 wynosiła 81.749.

Szpital św. Łazarza wraz ze szpitalem św. Ludwika przedstawia pole ciężkiej, lecz obfitej w błogie owoce pracy dla dobra i zbawienia dusz. Św. Wincenty, nasz Ojciec, mówił, że tego rodzaju „praca w szpitalu jest dziełem największem i najbardziej uświątobliwiającem, jakie można znaleźć na ziemi. Umiera nieraz w takim szpitalu tylu ludzi, co we wielu parafiach, a ponieważ pomaga się im do dobrej śmierci, więc ten kapłan, który im służy jest sprawcą, że ich dusze są przyjęte do nieba; tych zaś, którzy nie umierają, usposabia się do życia dobrego; a zatem, dodaje św. Wincenty, więcej jeden kapłan w szpitalu sprawuje dobrego, aniżeli wielu proboszczów razem" (List św. Wincentego z dnia 15 czerwca 1650). Praca w szpitalu św. Łazarza z każdym rokiem się wzmaga. W r. 1912 przeszło przez ten szpital ponad 15.000 chrześcijan, z których $^3/_4$ było wyspowiadanych i przyjęło Komunię św., a między nimi zapewne tacy, którzy od wielu lat porzucili praktyki religijne. Miłosierdzie Boże chorobą jako siecią łowi dusze, które długi czas zdala były od Boga.

Umarło 1376 osób, które zaopatrzono jeszcze ostatniem olejem św. namaszczenia, wyjąwszy jednego notorycznego jawnogrzesznika, który wprost obelżywie odrzucał spowiednika i gardził św. sakramentami.

Do pierwszej spowiedzi i Komunii św. przygotowano 24 wiernych, będących we wieku od 9 do 52 lat. Ochrzczono 626 dzieci, a wśród tego trzech żydów. Nawrócono z protestantyzmu 1 osobę, ze schizmy 3 osoby. Dano ślub na łożu śmiertelnem jednej osobie i w kościele także jednej.

Nauki chorym głosi się latem w kościele, zimową porą po salach i oddziałach. Prócz tego odprawiają się liczne nabożeństwa w jednym i drugim szpitalu. Dodać należy częste pogrzeby i eksportacye nieboszczyków na cmentarze w Krakowie, na Zwierzyńcu i na Podgórzu. Uciążliwa i wieloraka praca kancelaryjna pochłania bardzo wiele czasu kapelanom

szpitalnym. W księdze wykazów zapisano 3467 załatwień, nieraz bardzo skomplikowanych, nie licząc urzędowych ksiąg i kawałków, które siedmiokrotnie co rok przepisywać trzeba.

Praca nad młodzieżą należy do miłych obowiązków domu naszego. Dawniej byli tutaj klerycy nasi, a w ostatnich latach klerycy seminaryum internum. Po wakacyach zeszłego roku przeszli nasi seminarzyści do nowo urządzonego seminaryum na Stradomiu, gdzie obecnie znajduje się wszystka nasza młodzież duchowna. Trzech kapłanów z domu kleparskiego uczy tychże kleryków na Stradomiu, a kilku z nich nawzajem przychodzi na Kleparz uczyć młodzież z miasta do nas garnącą się co niedzielę po naukę. Przez te i inne wzajemne usługi (spowiedzi, asysty w nabożeństwach lub pogrzebach), jesteśmy nadal zjednoczeni z naszą młodzieżą duchowną.

Zakład im. ks. Siemaszki, o którym pisały szczegółowo „Roczniki" w r. 1912, bardzo się pomyślnie rozwija. Od kilku lat ma dom filialny w Czerny za Krzeszowicami. Liczba chłopców w obydwóch domach wynosiła w roku zeszłym 218. Wobec różnorodnych i licznych zajęć, jakie są w zakładzie, nie wystarczyła praca jednego księdza i 3 braci i dlatego ks. dyrektorowi Rzymełce dodany został w dniu 28 października pomocnik w osobie ks. Jana Lorka, który jest prócz tego moderatorem męskiej sodalicyi na Kleparzu.

Sodalicye maryańskie średnich szkół krakowskich rozwijają się nadal pomyślnie; ich moderatorowi ks. Lorkowi pomaga w pracy nad nimi 2 kleryków ze Stradomia. Liczba sodalisów w zeszłym roku wynosiła 108 studentów.

Sodalisi urządzają raz po raz udatne akademie i przedstawienia amatorskie; urządzają się też dla nich i dla gości odczyty z obrazami świetlnymi. Młodzież ta duchowo wyrobiona przechodzi po maturze do sodalicyi akademickiej i zawsze i wszędzie po chrześcijańsku dobrze oddziaływa na swe otoczenie.

Trzy oddziały dzieci katechizmowych pod troskliwą opieką duchowną kleryków stradomskich i nadal przychodzą tu dotąd po naukę: jedni przyspasabiają się do pierwszej spowiedzi i Komunii św., a inni utwierdzają się w nauce wiary świętej.

Do prac i zajęć, które mimo bronienia się przed niemi od wielu lat stale dostają się nam w udziale, są szkoły.

I tak ks. Rzymełka uczył w gimnazyum żeńskiem p. Strażyńskiej i w liceum p. Kaplińskiej. Ks. Pawłowski objął (15 listopada 1912) zastępstwo nauki religii w seminaryum nauczycielskiem żeńskiem w Krakowie z 21 godzinami tygodniowo. Nadto uczyli nasi księża w szkole św. Stanisława na Kleparzu, w szkole św. Jana Kantego na Smoleńsku dla analfabetek (ks. Sobawa), a wreszcie w szkole zawodowej piekarzy (1 godz.) i w szkole zawodowej masarzy i rzeźników (3 godz.) ks. Rzymełka).

Mamy nakoniec obsługę duchowną w Zakładzie dla nieuleczalnych im. Helclów. Miewaliśmy co niedzielę nauki w zakładzie św. Rodziny i w zakładzie św. Jadwigi. Nasi konfratrzy kierują 5-ma Stowarzyszeniami Dzieci Maryi, które są pod opieką SS. Miłosierdzia.

Często kapłani spieszą z pomocą duchowną w słuchaniu spowiedzi lub w głoszeniu słowa Bożego, tak w Krakowie, jako i po parafiach dyecezyi krakowskiej.

Z konferencyami św. Wincentego a Paulo ma nasze Zgromadzenie, a szczególniej dom na Kleparzu ściślejszy związek serdeczny i skuteczny w popieraniu ich dzieł miłosierdzia, które są niejako i naszemi. Kilku naszych księży jest czynnymi członkami konferencyj; dwóch należało do Rady wyższej tychże konferencyj: ks. Rzymełka i ks. Sosnowski, który po ks. Rzymełce objął redakcyę „Miłosierdzia chrześcijańskiego“, organu konferencyj, wychodzącego obecnie na Kleparzu co miesiąc.

Od kilku lat ubodzy, zostający pod opieką panów z konferencyj krakowskich odprawiają przed Wielkanocą 5-cio dniowe rekolekcye w naszym domu na Kleparzu. Ubogich

swoich zwykle przyprowadzają wieczorem panowie z konferencyi i wielu z nich bierze żywy udział w naukach razem z ubogimi. a potem z razem z nimi przystępują do Komunii św. Dom nasz dawał po Komuniii św. ubogim rzeszom śniadanie. Tamtego roku rozdaliśmy kosztem naszego domu „święcone“ na Wielkanoc 158 osobom przysłanym od Pań Miłosierdzia, nie zapomnieliśmy też i o swoich „dziadkach“.

W naszym domu na Boże Narodzenie urządzają także konferencye „choinkę“ dla dzieci ubogich rodzin, których nie było stać na sprawienie podarunków na „gwiazdkę“ dla swych dzieci. W główne swe święto, 8 grudnia w uroczystość N. Maryi Panny Niepokalanie Poczętej, zgromadzają się panowie z konferencyi w naszym kościele na Kleparzu przy ołtarzu Matki Boskiej i tamże przyjmują Komunię św., a potem tegoż dnia w sesyach delegatów konferencyj z całej Galicyi biorą czynny udział i nasi konfratrzy, i w ogólnej sesyi wieczornej, gdzie są obrabiane żywotne sprawy panów z konferencyi i ich miłosierdzia.

Kraków-Nowa Wieś. — Rok ubiegły zaznaczył się licznemi zmianami. Mianowicie, dotychczasowy superyor domu, ks. Stanisław Konieczny przeniesiony został powtórnie do Ameryki północnej, gdzie już poznał trudne warunki pracy tamtejszej. Drugą również wielką ofiarę dla misyi polskiej w Ameryce złożył nasz dom w osobie ks. Jana Ściskalskiego. Superyorem został ks. Jan Dihm, a w miejsce ks. Ściskalskiego powołany został ks. Leopold Petrzyk.

Praca naszego domu skupia się, jak zawsze, około naszego Małego Seminaryum. Liczba wychowanków wynosi przeszło 80. Reprezentują wszystkie dzielnice dawnej Polski, bo oprócz Krakowa i Galicyi, ma reprezentantów Ślązk, Poznańskie, Prusy, Królestwo Polskie, a nawet Litwa.

Wychowankowie kochają szczerze naukę, ale i pobożność. Częsta Komunia św. jest mile przez nich praktykowaną. Kładą podstawy do zamiłowania sztuk pięknych, czego dowodem ich śpiew i muzyka i częste przedstawienia i wie-

czorki. Roku zeszłege znowu wprowadzono lepsze urządzedzenia domowe, znacznym nakładem, aby tylko podnieść zdrowotność Zakładu.

Oprócz ciągłej pracy profesorskiej oddajemy się z zapałem i pracy duszpasterskiej, gdyż choć kościół nasz nie jest parafialnym, to jednak cała praca parafialna dla tej dzielnicy na nas spoczywa. Owocem tego jest ilość rozdanych Komunii św. w roku zeszłym: 23 296. Do chorych spieszyliśmy 102 razy.

Kościół nasz jest mile uczęszczany i cześć N. M. P. z Lourdes rozbrzmiewa, mimo że i drogi do kościoła są nieraz bardzo trudne z powodu częstej niepogody i sam kościół jest wilgotny, zimny i tak bardzo mu brak jakiejkolwiek ozdoby. Od dwudziestu lat już istnieje, a jeszcze nie jest malowany. Prosimy też P. Boga, abyśmy się mogli zabrać już do restauracyi kościoła i do jego malowania. Rzadko tu trafiają się dobroczyńcy. Jednak w roku zeszłym p. Leszczyńska, znana z pobożności tutejsza obywatelka ofiarowała bogaty witraż Serca P. Jezusa. Oby znalazła naśladowców.

Bractwa nasze pomyślnie się rozwijają, jak Arcybr. Serca N. P. Jezusa, Komunia Wynagradzająca, Żywy Różaniec, Dzieło św. Dziecięctwa, najmniej wydatnie stosunkowo Dzieci Maryi, z powodu, że choć tak liczne, nie mają niestety odpowiedniego lokalu.

Konferencya św. Wincentego liczy czynnych członków 18, a wspiera około 30 rodzin.

Zgromadzeniu naszemu danem również było przyłożyć w znacznej mierze rękę do założenia ochronki, tak niezbędnej w dzielnicy robotniczej. Superyor domu jest zarazem przewodniczącym Komitetu opieki nad ochronką. Przeszło sto dzieci znajduje w niej opiekę pod troskliwem okiem. SS. Miłosierdzia.

Tak jak cała ta praca parafialna jest bezinteresowną, tak i kapelania w Zakładzie sierot w Łobzowie i w Zakładzie analogicznym hr. A. Potockiego i praca w kolonii robotniczej na Modrzejówce

Do sfery naszej należała dotąd Wola Justowska, gdzie księżna Z. Czartoryska zaszczycała nas swem zaufaniem. Z żalem pożegnaliśmy czcigodną naszą dobrodziejkę, która ofiarowawszy pałac Księciu-Biskupowi krakowskiemu, przeniosła się na stały pobyt do Rzymu.

Oprócz pracy w kościele, w blizkiej i dalszej okolicy, t. j. w samym Krakowie, gdzie spieszymy zawsze z chętną duchowną pomocą, czy na rekolekcye ludowe na Kleparz, czy na Stradom, czy do różnych domów SS. Miłosierdzia i szpitali, danem nam było i dalej nieść ziarno słowa Bożego. Ks. Superyor dawał rekolekcye P. P. Benedyktynkom w Przemyślu, S. S. Miłosierdzia we Lwowie; Ks. Paszyna rekolekcye u Sióstr Sercanek (dla służących), w Woli Justowskiej, Dzieciom Maryi przy ulicy Piekarskiej. Oprócz tego razem z ks. Sadowskim przez dwa miesiące pracował Ks. Paszyna nad wychodźcami polskimi w dyecezyi Hildesheim.

Oto bilans naszej pracy, do której Bóg łaskawie daje nam sposobność. Znaczną część zasługi w tem mają nasi Bracia, którzy wzorowo spełniają dla nas ciche swe zajęcia domowe.

Tarnów. — *List Ks. Ign. Dudziaka, z dnia 12 lutego b. r.*

Ostatnia notatka z Tarnowa podała w Rocznikach opis konsekracyi kościoła. Rozpocznę więc od utworzenia parafii przy naszym kościele.

Akt ten odbył się 1 lipca 1911 r. Dzień był pogodny. Już od rana tysiące wiernych spieszyły do kościoła; przybyły także in gremio naczelne władze Tarnowa. O godzinie 8 Najprzewielebniejszy Ks. Biskup Leon Wałęga odprawił mszę świętą. Po nabożeństwie wszedł na ambonę i przemówił do wiernych serdecznie i z widoczną radością. Treść kazania była mniej więcej następująca: „Pragnieniem mojem, kiedym przybył do Tarnowa, była myśl utworzenia nowej parafii. Opatrzność Boska zesłała mi księży ze Zgromadzenia Misyi św. Wincentego a Paulo, którym poleciłem budowę nowego kościoła. Świątynia dzięki niestrudzonej pracy i poświęcenia się Ks. superyora Tyczkowskiego, ofiarności duchowieństwa

i ludu, w krótkim czasie stanęła. Wiele było trudności ze strony rządu przy utworzeniu nowej parafii, ale i te Opatrzność usunęła“. Następnie Ks. Biskup ogłosił nowej parafii pierwszym jej proboszczem Ks. sup. Tyczkowskiego. „On położył największe zasługi około powstania tego kościoła — mówił dalej — dlatego prosiłem przełożonych, aby został pierwszym jego proboszczem“. Dalej zachęcał parafian do miłości swego duszpasterza. „Kościół ten stanął na cześć Najśw. Rodziny. Jak w Najśw. Rodzinie była największa miłość wzajemna, tak i w tej rodzinie duchowej, której ojcem jest Ks. Proboszcz, a podwładnymi parafianie, niech panuje największa miłość. Oby nigdy nie było żadnego rozdwojenia pomiędzy parafianami a Ks. Proboszczem. — Bardzo mi zależało na tem, aby parafia miała dobrych przewodników. Teraz jestem spokojny, kiedy widzę, że parafia znajduje się pod opieką Księży Misyonarzy. Jestem przekonany, że z tą samą gorliwością będą pracowali nad zbawieniem dusz, jak ich Założyciel, św. Wincenty“. Na koniec zwrócił się Ks. Biskup do Ks. Wizytatora i podziękował za przysłanie księży na ten nowy posterunek pracy.

Parafia nasza ma około 6000 dusz. Obejmuje: wieś Chyszów, przedmieście Strusinę, a w mieście sięga do ulicy Bandrowskiego i Średniej.

Ogromna przestrzeń kościoła zaczyna się zapełniać w miarę funduszów. W czerwcu 1911 Ks. Infułat Bąba poświęcił uroczyście organy pneumatyczne, 20-głosowe, z firmy Kazimierza Żebrowskiego w Krakowie. Przy tej sposobności chór Towarzystwa muzycznego przy udziale orkiestry wykonał kilka utworów kościelnych, pod batutą dyrektora Stefana Surzyńskiego. Organ, silnie zbudowany, jest odpornym na wszelkie zmiany powietrza i odznacza się bardzo miłą barwą tonów. Wprawdzie wszystkie organy, wychodzące z firmy Żebrowskiego, posiadają tę cechę, ale ten, jak mówią znawcy, specyalnie się udał.

Na początku postu 1912 roku odbyło się w kościele uroczyste zaprowadzenie Stacyj Drogi krzyżowej. Stacye wy-

konane jako płaskorzeźby, są prawdziwą ozdobą kościoła. Każda ma dwa metry wysokości, a 96 cm. szerokości. Przebija w nich ogromna plastyka i dużo artyzmu. We figurach poszczególnych widać akcyę, każda z nich żyje i odgrywa swoją rolę; w nieprzyjaciołach Pana Jezusa widać złość i dzikość, a w Zbawicielu ogromny wyraz bólu, a zarazem spokoju. Stacye umieszczono w bocznych nawach. Wierni z nich często korzystają; niema prawie dnia, w którymby ktoś nie odprawiał Drogi krzyżowej, a w piątki całe grupy wiernych rozważają mękę Pana Jezusa.

W kilka tygodni po zaprowadzeniu Stacyj stanęły w presbyteryum stale; z każdej strony znajduje się dwa rzędy siedzeń. Stale zrobione z drzewa dębowego, przedstawiają się skromnie, ale gustownie i majestatycznie; siedzenia są praktycznie urządzone, tak że mogą pomieścić swobodnie 60 osób.

Cieszymy się, kiedy kościół coraz więcej wzrasta w ozdoby, ale najwięcej napełnia nas radością to, że kościół żywy, serca wiernych napełniają się cnotami.

Starsi ludzie zwykle narzekają na młodsze pokolenia; z przyjemnością powołują się na przeszłe czasy i z pewną dumą i zadowoleniem powtarzają: „Za naszych czasów było lepiej, nie było tyle zepsucia, co dzisiaj“. Mieszkańcy Strusiny robią w tym wypadku wyjątek i sami przyznają, że z chwilą, kiedy Księża Misyonarze się osiedlili i zaczęli pracować, lud się poprawił — już można teraz bezpiecznie chodzić wieczorem, głów już tak nie rozbijają, niema tyle szkodliwych figli, pijaków mniej, życie moralne zapanowało. Jest to dla nas wielką pociechą, kiedy z ust samego ludu odbieramy takie oświadczenie, bo widzimy, że praca nie poszła na marne, ale pod wpływem łaski Bożej przynosi plon obfity.

Zajęcia nasze skupiają się w dwóch ogniskach: w kościele i szkołach, trzech miejskich, pospolitych, i jednej krajowej, kupieckiej. Zakres pracy kościelnej jest rozległy i choć nas sześciu jest zajętych, to mimowoli wyrywają się czasem słowa: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało...“

Lud chętnie garnie się do Sakramentów św. Na brak penitentów nigdy skarżyć się nie możemy; czasem konfesyonały są tak oblężone, że zwątpienie ogarnia, czy wszystkich wyspowiadamy. W konfesyonałach przebywamy wszyscy codziennie (dwóch katechetów, o ile mają czas) od 5½—9 godz. rano, a w niedziele i święta od 5½—11½, bez względu na to, czy kto jest do spowiedzi czy nie. Zdawałoby się czasem, po co przebywać w konfesyonale, jeżeli ludzie o spowiedź nie proszą. Tymczasem i to „pobożne próżnowanie“, że się tak wyrażę, spędzone na wyczekiwaniu, ma swoje znaczenie. Niejeden przyszedłszy do kościoła, nie myślał wcale o spowiedzi; ale kiedy zobaczył księdza, siedzącego w konfesyonale, gotowego każdej chwili go przyjąć, mimo woli słyszy głos w duszy: „Masz tak łatwą sposobność oczyszczenia duszy swojej z grzechów, korzystaj więc z niej“. Przychodzi łaska Boża, z pomocą jej robi rachunek sumienia i spowiada się; gdyby ksiądz nie był na niego czekał, byłby dalej w grzechach chodził.

Spowiadają się chętnie. Mało jest takich, którzyby tylko raz na rok przyjmowali Sakrament Pokuty, przynajmniej dwa razy spowiadają się wszyscy, w poście i w adwencie. Wielu także przychodzi do spowiedzi z okolicznych wsi. Uważają nasz kościół nie tak za parafialny, jak raczej za misyjny, i dlatego, kiedy mają sumienie obciążone grzechami, spieszą do Księży Misyonarzy, bo są przekonani, że tutaj podobnie jak na misyi Misyonarze mogą odpuścić największe nawet grzechy i są pewni, że bez rozgrzeszenia nie odejdą.

Komunię św. przyjmują coraz częściej. Wielu jest takich, którzy codziennie do Stołu Pańskiego przystępują. Liczba Komunii św. wzrasta każdego roku o kilka tysięcy. Dla przykładu zestawiam rok 1909 z r. 1912: podczas gdy w r. 1909 rozdaliśmy Komunii św. 23 tysiące, to w r. 1912 przeszło 63 tysiące.

Kiedy kościół zaczęto budować, mówili niektórzy, na co tak wielki kościół. Obecnie zaś pokazuje się, że wcale nie jest za wielki, bo wierni tak licznie przychodzą na na-

bożeństwa, że nieraz z trudnością się wszyscy pomieszczą, a bywały wypadki, że musieli stać poza kościołem. Na nabożeństwa przychodzą nie tylko z miasta, ale także z okolic i to nieraz dalekich.

Kiedy ich pytamy, dlaczego z tak daleka przychodzą, choć mają gdzieindziej bliżej, to z prostotą odpowiadają, że coś ich ciągnie do kościoła Księży Misyonarzy.

Pocieszającą jest dla nas rzeczą, że lud tutejszy bardzo chętnie słucha słowa Bożego. Do adwentu r. 1911 głosiliśmy w niedziele i święta dwa kazania: na sumie i na nieszporach. Wierni słuchacze tem się nie zadowolili; prosili jeszcze o trzecie kazanie na prymaryi. Trudno im było odmówić. Mimowoli przychodziły na pamięć słowa Pana Jezusa, wyrzeczone na widok otaczających go rzesz: „Żal mi tego ludu“. I nam było żal pozostawić ich bez pokarmu duchowego, i choć kościół duży i trzeba dobrze się natężyć, aby słowo doszło do wszystkich słuchaczy, choć nie wiele mamy czasu, to jednak chętnie dodaliśmy trzecie kazanie; bo widok skupionej rzeszy, wpatrzonej w ambonę, dodaje sił nieraz zmęczonemu kaznodziei i napełnia go przekonaniem, że słowa jego padną na grunt dobry; że nie tylko odbiją się echem o sklepienia, ale pójdą do duszy słuchaczy, wnikną do jej tajników, zmuszą do refleksyi. I rzeczywiście przekonaliśmy się, że rzeczy słyszane z ambony wierni stosują do siebie, badają swoje sumienie, potem przychodzą do konfesyonału i spowiadają się z grzechów, które sobie przedtem lekceważyli.

Na nieszporach rozbieramy szczegółowo katechizm. Do tych kazań ludzie najwięcej się przywiązali i wielu jest takich, którzy nie mając czasu przyjść na nieszpory starają się przynajmniej kazania wysłuchać. Widać stąd, jakiem błogosławieństwem są dla ludzi kazania katechizmowe; jak lud nasz nie jest obojętnym we wierze; jak pragnie poznać Boga i przykazania, a poznawszy chetnie je wypełnia. Mówili nieraz ludzie inteligentni, że choć wiele kazań słyszeli, to jednak takich korzyści nigdy nie odnieśli, jak teraz. To

prawda, że słyszeli zapewne daleko piękniejsze kazania pod względem formy, które pieściły ucho, wzruszyły może chwilowo serce, ale umysłu nie oświeciły i duszy na lepsze nie zmieniły. Lud doskonale ocenia prostotę, jaką zaleca święty Wincenty. Nie pragnie wykwintnej formy, ale szuka słów prostych, zrozumiałych i pełnych ognia Bożego; pragnie jasnego wykładu i zachęty, pochodzącej z prawdziwego przekonania kaznodziei; kiedy to otrzyma, wtenczas jest zadowolony, bo poznał i ukochał nową, przedtem nieznaną prawdę.

Na życzenie Ks. Biskupa urządzamy w grudniu każdego roku cztery serye rekolekcyj dla emigrantów. Rekolekcye te są bardzo potrzebne, bo niejeden przebywając cały rok na obczyźnie, zapomniał o Bogu, o przykazaniach. Tu poznaje swoje przewinienia, nawraca się, nabiera nowych sił i postanawia Panu Bogu wiernie służyć. W spowiedziach pomagają nam miejscowi księża. Na koniec każdej seryi przybywa Ks. Biskup, zachęca rekolektantów do wytrwania w dobrem i udziela im Sakramentu Bierzmowania. Zeszłego roku rekolekcye te wypadły dosyć słabo; wskutek spóźnionych prac rolnych większa część wcale do Galicyi nie wróciła.

Osobne rekolekcye ludowe urządzamy w wielkim poście; jedną seryę dla mężczyzn, drugą dla niewiast. Rekolekcye te odbywają się zawsze z wielkiem powodzeniem; w każdej seryi bierze udział koło 3 tysiące wiernych. Najwięcej pożytku przynoszą duszom opuszczonym, ludziom, którzy kilka lat nie przystępowali do Sakramentów św., u których wiara już jest zachwianą. Przeczytawszy na plakatach zapowiedź rekolekcyj, przychodzą z ciekawości na wstępną naukę; a przekonawszy się, że i dla nich Pan Bóg jeszcze jest miłosiernym, nie opuszczają żadnej nauki, a w końcu szczerze się spowiadają.

Dwa razy w tygodniu gromadzimy zaniedbaną dziatwę na naukę religii. Są to podrostki od 9—17 lat życia, co jeszcze nie były u pierwszej spowiedzi i Komunii św. Więk-

sza część nie umie czytać; do szkoły albo wcale nie chodzili albo skończyli najwyżej drugą klasę.

Zeszłego roku zaprowadziliśmy ćwiczenia śpiewu ludowego. Pierwsza próba odbyła się w kaplicy. Ochotników znalazło się bardzo wielu, kaplica okazała się za szczupłą, to też na drugi raz ćwiczenie odbyło się w kościele. Jeden z księży wchodzi na ambonę, zwraca uwagę na różne błędy, podaje wskazówki; organista na dany znak zaczyna grać, ksiądz prześpiewa pieśń, a potem śpiewa lud. Ćwiczenia te odbywają się w niedziele po nieszporach. Z początku poprawiamy pieśni już umiane, potem będziemy uczyli nowych. Pragniemy zaprowadzić śpiew ludowy nie tylko na nieszporach, ale także w czasie mszy św.

Chociaż mamy dosyć zajęć w kościele i szkołach, to jednak, o ile czas pozwoli, spieszymy z pomocą w słuchaniu spowiedzi św., z kazaniami odpustowemi, z rekolekcyami. Ubiegłego roku udzielał rekolekcyj Ks. Superyor mieszczaństwu tarnowskiemu, Ks. Mierzejewski szkole im. Słowackiego, Ks. Dudziak szkole im. Brodzińskiego, Konarskiego, Kościuszki i p. Hoffmanowej. Jeden z konfratrów spowiada raz na tydzień chorych, powracających do zdrowia, w szpitalu krajowym (obowiązki duchowne w szpitalu spełniają w wypadkach nagłych księża z parafii katedralnej). Nadto wszyscy konfratrzy należą do konferencyi św. Wincentego jako członkowie czynni.

Wspomnieć mi jeszcze wypada o stowarzyszeniach, istniejących przy naszym kościele.

Z chwilą powstania parafii zawiązało się stowarzyszenie Żywego Różańca. Dotychczas istnieje 31 róż. W każdą pierwszą sobotę miesiąca odprawia się dla stowarzyszenia wotywa z wystawieniem Najśw. Sakramentu i nauką przed ołtarzem Matki Boskiej. Po długich staraniach otrzymaliśmy pozwolenie na kanoniczne zaprowadzenie arcybractwa Wiecznego Różańca.

Zeszłego roku zaprowadziliśmy stowarzyszenie Apostolstwa Modlitwy i Najśw. Serca Jezusowego. Dotychczas za-

pisało się do stowarzyszenia przeszło tysiąc członków. Przy tem stowarzyszeniu powstały także kółka Komunii św. wynagradzającej. Kółek miesięcznych zawiązało się dotychczas 18, a tygodniowych 24. Z radością zaznaczyć trzeba, że nabożeństwo do Najśw. Serca coraz więcej wśród ludu tutejszego się rozszerza. Przystępowanie do Komunii św. w I. piątki miesiąca jest coraz częstsze. Żeby wiernym ułatwić tę pobożną praktykę, słuchamy spowiedzi św. w czwartki przed pierwszymi piątkami od godz. 5 do 7 wieczorem. W pierwszy zaś piątek odprawia się przed ołtarzem Serca Pana Jezusa uroczysta wotywa z wystawieniem Najśw. Sakramentu i nauką; w czasie wotywy członkowie stowarzyszenia występują ze światłem i przyjmują Komunię św. wynagradzającą.

W I. niedzielę odprawia się popołudniowe nabożeństwo Serca Jezusowego. Polega ono na tem, że po nieszporach przenosi się Sanctissimum do ołtarza Serca Jezusowego, potem jest kazanie o intencyi ogólnej miesięcznej Apostolstwa Modlitwy, litania i uroczysta procesya. Kościół w tę niedzielę jest zawsze przepełniony.

Dla członków obydwóch stowarzyszeń odbywa się co miesiąc jedno zebranie w kaplicy; nadto Ks. Dyrektor co miesiąc zgromadza zelatorów i daje wskazówki, jak mają pracować nad utrzymaniem ducha w stowarzyszeniach.

Pieknie rozwija się także Stowarzyszenie św. Dziecięctwa. Liczy dotychczas przeszło 1400 członków.

Dnia 8 grudnia 1911 r. zaprowadziliśmy Sodalicyę maryańską młodzieńców pod wezwaniem Niep. Poczęcia N. M. P. Należą do niej chłopacy począwszy od 14 roku życia. Rekrutują się z różnych warstw. I tak, należą tu uczniowie seminaryum nauczycielskiego, szkoły kupieckiej, praktykanci krawieccy i stolarscy, rolnicy i wyrobnicy. Dotychczas sodalicya liczy 19 członków, a 8 czeka na przyjęcie. Liczba to dosyć mała. Z początku było kandydatów więcej; ale przyszli oni z innymi ideałami; byli przekonani, że na stole zamiast czasopism znajdą coś innego — zawiedzeni odeszli po pierwszem zebraniu i powiedzieli, że tak na sucho nie warto chodzić.

Obowiązkowe zebrania odbywają się co drugą niedzielę i w każde święto Matki Boskiej, a co niedzielę schodzą się chłopcy na wspólną zabawę pod okiem księdza. W ciągu roku urządzono trzy przedstawienia amatorskie, z których dochód obrócono na zakupienie najpotrzebniejszych sprzętów, jak krzeseł, ławek do sali zebrań, a resztę obrócono na utworzenie biblioteki. — Sodalisi przystępują co miesiąc do Komunii św. i biorą udział we wszystkich procesyach.

W maju ubiegłego roku powstała Sodalicya maryańska kolejarzy. To stowarzyszenie najwięcej nas cieszy. Ono ze wszystkich istniejących jest najpotrzebniejsze, bo jest niejako wieżą obronną przeciw wszelkim antyreligijnym i wywrotnym prądom. Wprawdzie socyalizm w Tarnowie nie jest jeszcze tak silnie zorganizowanym i obecnie nie jest zdolnym zaszkodzić sprawie katolickiej i społecznej, ale z czasem mógłby to uczynić, a trudno groblę sypać, kiedy rzeka wylewa; trzeba to przedtem uczynić, jeżeli chce się uniknąć zalewu. Tą myślą kierował się Ks. Superyor i dlatego pospieszył się z założeniem kongregacyi wśród tego właśnie stanu ludzi, gdzie socyalizm znajduje dla siebie grunt podatny. Przyjęcie odbyło się 14 grudnia roku ubiegłego. Radością napełniało się serce, kiedy pierwszy złożył obietnice Maryi inspektor kolejowy, a za nim powtórzyło to samo 53 urzędników, podurzędników i robotników kolejowych. Do drugiego przyjęcia przygotowuje się jeszcze 50 kandydatów. Wogóle zapisują się bardzo chętnie do Sodalicyi. Niektórzy tylko przestraszyli się miesięcznej spowiedzi i utworzenie Sodalicyi uważali za nagonkę do Sakr. Pokuty. Zebrania ich odbywają się co miesiąc.

Żeńskie Stowarzyszenie Dzieci Maryi, założone z chwilą powstania kościoła, rozwija się coraz bardziej; liczy obecnie przeszło 200 członków. Z początku były małe trudności; dziewczęta myślały, że po złożeniu obietnic nie będą mogły wyjść za mąż. Ale kiedy im wytłumaczono, że tak nie jest, że owszem im będą lepszemi dziećmi Maryi, tem prędzej

znajdą towarzysza życia, wtenczas zaczęły zapisywać się do stowarzyszenia coraz więcej.

Dla stowarzyszeń przychodzą następujące pisma: „Głosy katolickie“ i „Posłaniec Serca Jezusowego“ (przeszło 200 egzemplarzy), „Róża duchowna“, „Chorągiew Maryi“, „Sodalis Marianus“ i „Niewiasta katolicka“.

Na koniec podam krótką statystykę ruchu parafialnego w naszym kościele w r. 1912. Chrztów było 178; ślubów 49; chorych zaopatrzyliśmy 131; zmarłych było 87.

Kazań wygłosiliśmy 308, a różnych nauk na zebraniach, wotywach i t. p. 94, oprócz egzort szkolnych.

Lwów. — *Małe seminaryum arcybiskupie.* — Ks. Rektor Gaworzewski przysyła nam następujące wiadomości ze Zakładu za rok 1912.

Pracy naszej w M. Seminaryum widocznie Bóg błogosławi... Młodzież naszej pieczy zlecona, ogółem mówiąc, odpowiada dobrze celowi Zakładu, jaki mieli na oku ci, którzy położyli podwaliny pod ten Zakład. Przedewszystkiem zaś cieszyć się musi przed Bogiem ś. p. Ks. arcyb. Franciszek Pištek, który nie żałował funduszów i trudu, aby urzeczywistnić życzenie Soboru Trydenckiego (sess. 23, cap. 18, de reform., de forma erigendi sem. cler.), który poleca, by młodzież, zanim przyjęta zostanie do seminaryum kleryków, wychowywała się w kolegiach, celem ustrzeżenia się złych nawyknień i zaprawienia się od wczesnej młodości do cnoty. Mając na uwadze ten cel Zakładu, przez concilium Trydenckie nakreślony, staramy się, aby młodzież oddawała się pilnie nauce i nabywała cnoty, w myśl szczytnych haseł filareckich.

Oprócz lekcyj obowiązkowych, młodzież Zakładu uczęszcza w znacznej liczbie na następujące przedmioty nadobowiązkowe: język francuski, angielski, ruski, stenografię, rysunki, laboratoryum przyrodnicze i gimnastykę..

W Zakładzie zaś członkowie czytelni „Zarania“ opracowują odczyty treści przeważnie historycznej, literackiej

i t. p., które na zebraniach tygodniowych odczytują wobec kolegów, poczem toczy się zazwyczaj ożywiona dyskusya.

Kółko dramatyczne założone od dwóch lat w Zakładzie przyczyniło się bardzo do rozbudzenia życia w Zakładzie, a nadto daje uczniom sposobność kształcenia się we wymowie i ośmiela w występach publicznych. W ciągu ubiegłego roku kółko dramatyczne dało sporą ilość przedstawień przeważnie udatnych, jak n. p. „Wyrok Jana Kazimierza" przez Syrokomlę, „Mnich" Korzeniowskiego, „Geldhab" Fredry, „Unici Podlascy" i t. p...

Celem ćwiczenia zmysłu praktycznego założyliśmy dla młodzieży w Zakładzie sklepik, który ma przedewszystkiem przybory szkolne oraz inne przedmioty służące do użytku młodzieży. Sprowadza się i sprzedaje jedynie towary przemysłu krajowego. Sprowadzaniem zajmuje się jeden ze studentów, drugi jest sklepikarzem sprzedającym towary, a trzeci prowadzi kasę. Na czele całej tej instytucyi handlowej stoi rada nadzorcza, złożona z studentów najwyższych klas; a w zakres jej wchodzi prowadzenie kontroli. Mały dochód, jaki z tego przedsiębiorstwa płynie, przeznacza się na dobre cele oraz część składa się na założenie Kasy pożyczkowej.

Sodalicya Maryańska w Zakładzie przyczynia się w miarę swych sił do rozbudzenia życia religijnego w Zakładzie. Jej staraniem wprowadzona w praktykę Komunia św. wynagradzająca została w ubiegłym roku formalnie w Zakładzie założona. Odczyty treści religijnej na zebraniach Sodalicyi zajmują umysły młodzieży zagadnieniami dogmatycznemi i natury etycznej.

Z ostatniego roku szkolnego 5 wychowanków wstąpiło do seminaryum kleryków. Zastęp wychowanków naszych na 4 latach teologii liczy obecnie 18 kleryków.

Zakład istnieje lat 72. Nosimy się z myślą, aby z tą przeszłością nawiązać pewne nici. W tym celu rzuciliśmy myśl założenia choćby we formie najluźniejszej, „Związku dawnych wychowanków M. Seminaryum". Myśl ta została przy-

jęła u wielkiej już dość liczby dawnych mieszkańców Zakładu z zapałem. Dotychczas na to hasło zgłosiło się około 50. Spodziewać się więc należy, że myśl ta w blizkim czasie przyoblecze się w szatę rzeczywistości.

Oprócz zajęć w Zakładzie, które stanowią główne nasze zadanie, w miarę sił i czasu oddajemy usługi duchowne także i po za murami Seminaryum. Ks. Szulc zatrudniony przedewszystkiem obowiązkami katechety gimnazyum VI., dokąd młodzież nasza uczęszcza. Nadto od dwóch lat jest katechetą w Zakładzie naukowo-wychowawczym p. Strzałkowskiej. Co do nauk, stale je wygłaszamy na zebraniach Towarzystw, których dyrekcya spoczywa w naszych rękach, a mianowicie Tow. Pań Miłosierdzia, PP. Ekonomek, Tow. św. Franciszka Salezego. Nadto spieszymy chętnie z naukami w kościołach lwowskich i w szkołach. Znacznie zajmują nas także prace katechizacyjne, a zwłaszcza w Stow. nauki chrześcijańskiej, założonem w Domu dla ubogich. Oddziałów tych jest 5, a liczba dzieci tam uczęszczających dochodzi w okresie kulminacyjnym pod względem frekwencyi do 500.

W ubiegłym roku zdołaliśmy przyjąć szereg następujących rekolekcyj: Ks. Król w szkole św. Marcina (od 18 do 20 marca), we filii Zakładu nieuleczalnych przy ul. Zborowskiej dla pań (od 27 do 31 marca) i w szkole kolejowej przygotowując dzieci szkolne do pierwszej Komunii św. (13, 14 i 15 maja); Ks. Szulc w Zakładzie p. Zofii Strzałkowskiej (od 15 do 19 marca), dla ubogich zostających na opiece Tow. św. Wincentego (od 18 do 24 marca), w Zakładzie Sióstr Najśw. Rodziny z Nazaretu (od 30 października do 1 listopada); Ks. Gaworzewski w Zakładzie p. Wiktoryi Niedziałkowskiej (od 7 do 10 marca), w Krasiczynie w kaplicy zamkowej ks. Sapiehów dla różnych stanów (od 15 do 18 marca).

Milatyn Nowy — *Z listu Ks. Buchhorna do Ks. Wizytatora, datowanego 24 lutego 1913 r.* — Misyę w Skałacie, o której pisałem w zeszłym liście, odprawiliśmy za łaską Bożą. Wiele mieliśmy pociechy wśród ciężkiej pracy, przede-

wszystkiem to, że nas zrozumieli i przejęli się naszemi naukami i wskazówkami. Wyspowiadaliśmy około 3200 ludzi z pomocą okolicznych księży; z tej liczby przypada 1700 na niewiasty, reszta na mężczyzn. Do Komunii św. przystąpili po 2—3 razy, według dekretu Ojca św. o częstej Komunii. Misyę zaczęliśmy w I. niedzielę postu na sumie, a skończyli na nieszporach w II. niedzielę postu. Zaraz po ukończeniu nabożeństwa misyjnego wieczorem opuściliśmy Skałat i pojechaliśmy do Kołodziejówki oddalonej 8 klm. od Skałatu. Tu na drugi dzień, t. j. 17 lutego, w dzień błogosł. Franciszka Cleta, po odprawieniu uroczystej cum expositione sumy i kazaniu o męce Pańskiej, poświęciłem i kanonicznie erygowałem stacye Drogi krzyżowej. Chociaż ta święta ceremonia odbywała się w dniu powszednim, ludu pobożnego zebrało się takie mnóstwo, że kościół dość obszerny nie mógł pomieścić wiernych. Wszyscy przybiegli, aby zobaczyć Ojców duchownych, którzy tu w jesieni roku zeszłego dawali misye. Wdzięczni ci ludzie całowali ręce nasze, do nóg się nam rzucali, płakali z radości, zapraszali do siebie, naprawdę wzruszyli nas prawie do płaczu, mimowoli przyszła mi na pamięć ona chwila, o której Dzieje apostolskie wspominają, jak to Efezowie żegnali św. Pawła, wielkiego misyonarza, gdy już ich miał opuścić.

W tym tygodniu od środy do niedzieli dawać będę rekolekcye w Niesłuchowie u hr. Dzieduszyckich, dla nich samych i dla służby dworskiej.

Rio Claro (Parana). — *Z listu Ks. Kandory do Przew. Ks. Wizytatora, z dnia 5 grudnia 1912 r.* — „U nas praca się powiększyła, bo jak już pisałem, utworzył tu Ks. Biskup parafię, odrywając część od Triumfo. Teraz i Brazylianie należą do nas. Wszelako nie chodziło tu tyle o tych kilku Brazylian, którzy na przyłączonem terytoryum mieszkają w lasach, ale o Polaków, którzy się tam osiedlają, kupując szakry od Brazylian. Kto tylko się ożeni w Claro, zaraz się tam wyprowadza i kupuje ziemię; więc to nasi parafianie, szkodaby ich było.

„W tym roku zajęci byliśmy pracą koło budowy szkoły i plebanii. Mieszkaliśmy dotąd w bardzo nędznej plebanii, ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Tutaj zwłaszcza, w Brazylii, zrzec się trzeba wszelkich wygód; jedno tylko było przykrem dla nas, że tak daleko do kościoła, zwłaszcza w porze deszczowej. Za to teraz będziemy mieszkali tuż obok Pana Jezusa.

„Myślę, że na święta zamieszkamy w nowej plebanii i kiedy Przew. Ks. Wizytator zawita do nas, czego się spodziewamy, zamieszka już w dobrze urządzonym domu.

„W czasie wakacyi szkolnych chcę również dokończyć szkoły, bo brak miejsca daje się odczuwać“.

W liście zaś z dnia 15 stycznia b. r. czytamy:

„Dziwna rzecz, że u nas w Rio Claro, gdzie się zapowiadała walka przeciw Siostrom, wszyscy zadowoleni ze Sióstr. Szkoła świetnie się rozwija, mamy 130 dzieci i ciągle się jeszcze zapisują. Wkrótce rozpoczną Siostry szwalnię, wiele dziewcząt się zgłasza. Jednem słowem, patrząc na to dzieło, nie żałuję trudów, które się poniosło i jeszcze poniesie.

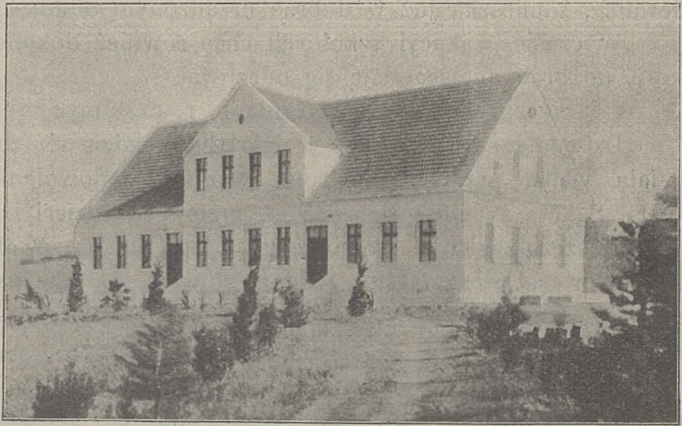
„My też już od Bożego Narodzenia mieszkamy w nowej plebanii. Jeszcze nie jest skończona, ale mieszkanie mamy wygodne, a kończyć prędko nie można, bo brak funduszów stoi na zawadzie“.

Thomaz-Coelho (Parana). — *Z listu Ks. Superyora Bayera, z dnia 26 grudnia 1912 r.* — „Obecnie mogę podzielić się tą szczęśliwą wiadomością, że sprawę szkoły doprowadziłem do końca; fotografijka załączona poświadczy o tem i da zarazem Najprzewielebniejszemu Księdzu Wizytatorowi pojęcie o okazałości i rozmiarach budynku szkolnego. Rozkład sam bije w oczy. Szkoła ma 27 m. długości, 12 m. szerokości. W środku, tak z frontu jak i z tyłu, piąterko.

„W środku domu na dole biegną dwa korytarze przez całą szerokość domu; pierwszy z prawej strony (jak na widoczku) dla dzieci szkolnych, wstęp i wchód do trzech klas, z których jedna, największa, o trzech oknach z frontu, a 4

z boku, rozciąga się przez całą szerokość domu i jest po prawej stronie korytarza. Druga sala szkolna, rozmiarów 8 m. wzdłuż, 5 m. wszerz, między obydwoma korytarzami o czterech oknach, a trzecia taka sama, w tem samem położeniu, tylko od podwórza.

„Drugi korytarz, przeznaczony dla Sióstr, prowadzi do ubikacyi tychże, które odpowiadają rozmiarowi sali szkolnej pierwszej i największej, ale podzielone są na trzy części; pierw-



Szkoła w Thomaz-Coelho (Parana).

sza, to sala przyjęć czyli rozmownica; za nią druga, to refektarz, potem kuchnia. Na piąterku w tylnej części, na widoczku nie uwydatniającej się, sala sypialna dla Sióstr, odpowiadająca rozmiarowi sali szkolnej na dole; z frontu zaś dwa małe pokoiczki, każdy o dwóch oknach frontowych. Szczyty wyzyskane; w nich dwa duże pokoje. Z prawej strony widoczku o 2 oknach sala rozmiarów 9 m. wzdłuż, 6 m. wszerz, a wysokości 3 m. Z drugiej strony w szczycie pokój trochę krótszy, ma tylko 7 m., z powodu schodów. Dwa te pokoje szczytowe mogą służyć w przyszłości dla dzieci zamiejscowych, których około 16 zmieścić się tam może wygodnie.

„Budynek jednem słowem okazały, obszerny, wygodny, i będzie pierwszy co do wielkości i pomieszczenia, a przytem jednolity, planowy, na wzgórzu blizko kościoła. Ogród z frontu już urządzony, taksamo i szpaler drzew od szkoły do kościoła, co wszystko razem na pustej przedtem kępie wytwarza śliczny dla oka widok. Ze szkoły, z wszystkich sal i okien na dole i na piąterku, obserwować można prawdziwie zakopiańskie widoki. Nakładu pieniędzy, trudów i zachodów było jednak potrzeba na to co nie miara.

„W Nowy Rok urządzam w budynku szkolnym loteryę fantową. Poświęcenie odbędzie się dnia 5 stycznia. Siostry zaraz po Nowym Roku do nowego domu się przeprowadzą“.

8 lutego 1913 r.

„W załączeniu przesyłam Najprzewielebniejszemu Ks. Wizytatorowi lepszą i dokładniejszą fotografię, nowo staraniem mojem wybudowanej szkoły. Jak już o tem pisałem, w sam Nowy Rok odbyła się loterya fantowa, która przyniosła pięćset milrejsów przeszło czystego zysku. Gdyby było drugie tyle fantów przygotowanych, i te byłyby rozprzedane; taki był popyt w zakupywaniu losów. Nazajutrz zarządziłem przeprowadzkę Wielebnych Sióstr z tymczasowego mieszkania, darmo odstąpionego przez jednego kolonistę. Obszerne i wygodne mieszkanie w nowej szkole jest nagrodą dla Sióstr za ich dotychczasowe mieszkanie biedne i ciasne.

„Poświęcenia szkoły dokonałem dnia 5 stycznia wśród licznie zebranego ludu przy ślicznej pogodzie. Szkoła udekorowana w barwy narodowe i brazylijskie, co z łatwością przy strukturze szkoły daje się uskutecznić. Drzewka, ręką brata Aleksandra zasadzone szpalerem prowadzącym od kościoła do szkoły i z frontu tej ostatniej, również ozdobione były chorągiewkami, co wszystko razem malowniczy przedstawiało obraz. Lud zawczasu zawiadomiony zebrał się licznie nie tylko z Thomaz-Coelho, ale i z innych dalszych kolonii. Po odprawieniu nabożeństwa w kościele procesyą ruszyliśmy do szkoły w celu jej poświęcenia. Szkoda wielka,

że fotografia przy tej okazyj zdjęta nie bardzo się udała. W ceremonii uczestniczyli Pan Konsul austryacki Ocetkiewicz ze sekretarzem konsularnym P. Szubertem, Księża Superyorzy Mięsopust i Kandora, Ks. Dejewski, oprócz dwóch naszych Sióstr miejscowych — trzecia w tym czasie zmieniona, a jej następczyni na czas nie zjechała — cztery Siostry z Abranches. Inni zaproszeni zjechać nie mogli.

„Podniosła chwila poświęcenia naszej szkoły, która rozmiarami swymi pierwsze na razie miejsce zajmować będzie w całej Paranie, wszystkim uczestnikom długo pozostanie w pamięci. Dzieło dokonane przetrwa w dalsze pokolenia. Oby tylko Miłosierny Bóg otoczył dzieło to swoją dobrotliwą opieką i zlewał obfite błogosławieństwo swe na prace Sióstr około oświaty ludu i w zakresie ich powołania podejmowane".

Guarany-mirim (St. Catharina). — *Ks. Superyor Góral pisze w liście z dnia 25 listopada 1912 r.:* — „Zaczynają się obecnie u nas gwałtowne upały i skwary, dochodzące w cieniu do 30° C. Woda w rzekach jest letnia, jak gdyby była przygrzana. Roślinność zato nadzwyczaj bujna. Wystarczy naprzykład gałązkę róży zatknąć do ziemi, żeby się przyjęła. Mamy przed domem piękny ogródek kwiatowy. Posadziłem również kawę, pomarańczę, cytryny, liście bobkowe, w ogrodzie owocowym. O europejskich śliwach, gruszach, jabłoniach, tu niema mowy: upały są za wielkie.

„W drugiej parafii, na Rio Vermelho stawiamy kościół, który na wielkie trudności napotyka, zwłaszcza dla braku funduszów. Udało nam się już ściany wyciągnąć pod dach. Obecnie będziemy zakładali wiązanie dachowe. Jeżeli środki pozwolą, chciałbym go wykończyć w następnym roku, by potem urządzić misye w obydwóch parafiach. Spodziewam się, że w przyszłym roku będzie lepsza droga do Rio Vermelho, gdyż większą część będzie można odbyć koleją, którą budują obecnie".